Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 18. Kwietnia 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 16.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

O tronie elekcyjnym domu Jagiellonów w Polsce

przez

Kazimierza Stadnickiego.

Gdy mowa o tronie elekcyjnym w dawnej Polsce, natenczas ma się prawie zawsze na oku okres o mało dwuwiekowy (1572—1764), w którym po zgonie ostatniego potomka męzkiego Władysława Jagiełły, stan rycerski na sejmach w tym celu zebranych wybierał dożywotnich królów Polski i W. książąt Litwy. Tak zaś nie jest, i jeżeli określenie dziejów przeszłości wymaga przedewszystkiem ścisłego oznaczenia dat stanowiących epoki w życiu narodów, natenczas należy cofnąć o dwa wieki datę pierwszego powstania tronu elekcyjnego w Polsce.

Odkąd na widowni dziejów, Polska w wybitnejszych rysach występuje t. j. od drugiej połowy dziesiątego stulecia, była ona przez lat czterysta monarchją dziedziczną w całem słowa tego znaczeniu, jeżeli pod tem rozumie się kraj w którym najwyższą władzę piastuje *jeden;* syn po ojcu, wnuk po dziadzie, w braku tych brat młodszy po starszym, toż samo dalsze gałęzie prawem starszeństwa po sobie bez kontestacji następują, każdy znich kraj ów za swą własność uważa a i on nawzajem czuje się do niego wcielonym.

Podział królestwa na małe państewka jaki nastąpił za synów Bolesława Krzywoustego i trwał dwa wieki nie pozbawił Polskę owej cechy. Były to familijne sprawy; ona została czem od początku była dzielnicą piastowską. Tożsamo krótkie panowanie Wacława czeskiego, który sięgnął po berło bo żona jego była córką Piasta, króla Przemysława. Po długich latach wojen domowych, niedoli, wygnania ukazała się znowu korona dziedziczna Bolesława Chrobrego na skroniach Władysława Łokietka i Kaźmierza Wielkiego. Udzielnych do ostatka książąt mazowieckich, król Zygmunt I. w publicznym edykcie nazwał rodzimemi panami Polski (domini naturales hujus regni) [1]) a gdy ci kolejno gaśli, korona polska pomimo zmiany dynastji, pomimo że Mazowsze nie było lennictwem, przecież osierociałe dzielnice, jako ziemię piastowską sobie wcielała [2])

W tym dynastycznym i monarchicznym ustroju, pierwszy stanowczy wyłom zrobił Kazimierz Wielki gdy niesłychanym w innych dynastjach procederem, z ukrzywdzeniem Piastów i ich potomków prawa swe dziedziczne do Polski, która mu podlegała (t. j. wyjąwszy Mazowsza), młodym będąc przelał na dynastję obcą. Zwołana, jaka natenczas istniała reprezentacja narodu przystała na ten pakt i tak Ludwik, Francuz z rodu, który prawa salickiego święcie i nieprzerwanie trzymał się, jako *siostrzeniec* Kazimierza, pierwszy otworzył szereg królów elekcyjnych w Polsce. Ale jako elekt następców bezpośrednich nie miał. Warował on bowiem we wszystkich transakcjach, dziedzictwo tronu polskiego dla swych możliwych potomków płci męskiej, w braku ich dla takichże potomków brata a gdy i ci króla obumarli, dostojnicy narodu na jego wezwanie ogłosili córki jego dziedziczkami tronu z prawem sukcesji dla ich potomstwa [3])

Taką dziedziczką po ustąpieniu starszej córki Ludwika i już królową była Jadwiga gdy dano jej Jagiełłę Olgierdowicza na męża. Dwaj równo uprawnieni dziedzice tronu jednocześnie istnieć nie mogą. Jagiełło więc ślubując Jadwigę nabywał jedynie dla potomków swych z nią spłodzonych, prawo dziedziczenia po niej korony polskiej: co do swojej osoby był on tylko małżonkiem królowej. Podobny stosunek istnieje obecnie w Anglji, Hiszpanji, Portugalji, gdzie ustawy dopuszczają kobiety do sukcesji w koronie. Zwrócono na to uwagę Jadwigi, bo już w r. 1387 wydała ona mandat do stołecznego miasta Krakowa aby po jej śmierci, królowi, małżonkowi i dziedzicowi jej posłuszni byli [4]) i nikogo innego za pana swego nie uznali. Ale rada koronna musiała uwzględnić obietnicę Jagiełły wcielenia do Polski swego rodzinnego państwa, oraz że czternastoletnia królowa, obca z rodu po ojcu i matce, i tak ster rządu mężowi powierzy. Ten zaś w obec długoletniego nieładu, dumy, niesforności możnowładców i nieprzyjaznych a nawet groźnych sąsiadów łatwiej Polskę z upadku podniesie, gdy do celującej i tak osobistości, przyłączy urok majestatu królewskiego. Z tych powodów postanowiła rada Jagiełłę koronować królem a koronacja podług pojęć współczesnych nadawała królewską władzę.

Tak więc król i królowa wspólnie rządzili Polską, która nader im wdzięczną być musiała, bo były to błogie dla niej czasy.

Ale czego najmniej miano powodu obawiania się, nastąpiło. Królowa Jadwiga w kwiecie wieku, w pierwszym połogu (r. 1399) przeniosła się do wieczności: dziecię matkę o trzy dni do grobu wyprzedziło. Król, który jak i nieboszczka, świadom był stosunku w jakim stał do korony polskiej, oświadcza radzie koronnej, iż przez zgon bezpotomny królowej, jedynej dziedziczki tronu on stał się obcym Polsce. Niech Polacy teraz starają się o innego króla, on wraca do Litwy. [5])

---

[1]) Ob. na końcu tej rozprawy edykt Zygmunta I. w sprawie jednej książąt pruskich.

[2]) Jak za Kazimierza i Zygmunta Jagiellończyków.

[3]) Recipient (Poloni) in principem haeredem et legitimum succesorem et *deinde successores* corundem.

(Słowa deklaracji z r. 1374 króla Ludwika co do sukcesji na tron polski potomstwa jego.

[4]) Ob. Synowie Gedymina tom 2. «Lubart» str. 131 nota 191 wyd. 1853.

[5]) O tym stosunku Jagiełły do korony polskiej Długosz z wyraźnym naciskiem na dwóch miejscach mówi: «Astruens rex non congruere sibi in *alieno regno* postquam *haeres* ejus *Hedrigis regina* sublata foret immorari». A dalej: «Hedvigi Poloniae regina et haerede unica ex cujus con-nubio noverat se diadema et Poloniae regnum adeptum fuisse ex orbatus».

Czy był szczerym w tych oświadczeniach? Długosz królowi niechętny, mówi, że nie był nim, przeciwnie obawiał się, by go z tronu, a nawet i Polski nie wyrzucono.[6]) Jak bądź to jego chwilowe postanowienie, było tak głośnem, że Wilhelm książę austrjacki, były narzeczony, jeżeli nie co więcej Jadwigi, udał się do w-go. mistrza Krzyżaków z zapytaniem czyliby nie było na dobie przypomnienie się Polakom [7]).

Kto zaś niezawodnie obawiał się, aby słowa króla nie stały się prawdą, była to rada koronna. O tym czasie zaczęła ona wchodzić w bliższe stosunki z senatem litewskim co do złączenia Litwy z Polską, jak to niżej wykazanem będzie. Niechże król stanowczo opuści Koronę, a wszelkie zabiegi do utworzenia na tej drodze wielkiego państwa, spełzną na niczem. Była to więc dogodna chwila do uregulowania tych stosunków. Należało tylko walny zjazd zwołać, a ten jednogłośnie obwołał by Jagiełłę królem dziedzicznym z wielkiem zadowoleniem Litwy.

A że tego życzył sobie ogół i w Koronie, okazało się dwadzieścia lat później, gdy Bóg króla starca obdarzył męskiem potomstwem.

Ale dziwne to było plemię owi dostojnicy Polski, co od czwartego stulecia do wieku czternastego trzymali w rękach swoich losy Polski. Wobec króla młodego, rokującego liczne potomstwo, otoczonego gronem krewnych, w kraju, gdzie prawo salickie co do sukcesji na tron dotąd nietknięte istniało, oni zamiast bronić tego króla od nastawionych sideł, przefrymarczają przyszłość swej ojczyzny dynastji, jej obcej a znanej z czynów krwawych, srogiego samolubstwa, nienasyconej chciwości. Wiążąc się z tą dynastją na wieki, dają sobie przez nią wydrwić na rzecz Węgier znakomitą cześć Rusi, orężem polskim zdobytej. Gdy nie było męskich potomków, przyjęto córki, bo ten dziwny naród, któren do przesytu szczyci się być męskim, zawsze najchętniej lgnie do kądzieli. Trzymał się wiernie córki starszej, Marji, pomimo że była małżonką najzaciętszego Polski wroga. Przyjął z radośnem uniesieniem siostrę jej Jadwigę, zaręczoną już księciu, co niewiele lepiej od szwagra wróżył. A teraz, mając pod ręką dzielnego króla, przypomina sobie rada koronna, że w dalekiej Styrji, malutkiem hrabstwie, tuła się przy stryju sierota, wnuczka Kaźmierza Wielkiego, Anna, córka Pana na Celeju. Sierotę tę ogłasza *jedyną dziedziczką tronu*, a korząc się z prośbą przed Jagiełłą, by Polski nie opuszczał, lecz jej dalej królował, wzywa go, by ją poślubił.[8])

Ale Anna, jakiebądź współczucie rozbudzać mogła, nie była dziedziczką tronu polskiego. W dynastji Piastów córki do sukcesji na tron powołane nie były; świadczy o tem czterowiekowe ich panowanie w małej i wielkiej Polsce, tożsamo dłuższe jeszcze na Szlązku i Mazowszu We wszystkich umowach króla Kaźmierza Wielkiego z Ludwikiem, jest mowa tylko o sukcesji po mieczu. Tylko zbytnia przezorność spowodowała Ludwika na samym początku panowania swego złożyć sejm we Węgrzech, któren dwie córki jego dobrodzieja i stryja, Kaźmierza, w trzeciem małżeństwie spłodzone, odsądził od sukcesji tronu w Polsce, Mając bowiem już zamiar jedną ze swoich córek osadzić na tym tronie, obawiał się, aby w danym razie, dawne przywiązanie do krwi Piastów nie wyszło na jaw, i kiedy kobieta ma być królem, lepiej żeby nim była wnuczka ostatniego króla. Pomimo to Władysław poszedł za radą swych dostojników i poślubił Annę. [9])

Został więc po raz drugi koronowanym mężem dziedziczki tronu z władzą i prawami do majestatu przywiązanemi (1402 — 16). Królowa Anna umiera r. 1416. Jedyna córka, którą spłodziła Anna, miała przy jej zgonie lat ośm. Jeżeli rada koronna naprawdę matkę jako jedyną dziedziczkę tronu uważała, natenczas dziedzictwo to spadło na ową latorośl Piastów, a król ojciec li jako opiekun aż do jej wieloletności, mógł piastować władzę. Do tego doszedł król sędziwy po trzydziestoletniem słynnem panowaniu. Niechże córka poślubi, jak wszystkie księżniczki tego domu, cudzoziemca i ma z nim potomka, korona polska przejdzie w inny dom i wszelkie postanowienia króla i rady koronnej, dążące do połączeczenia Litwy z Polską spełzną na niczem, bo Litwa nie przystanie na to, by kto inny, niż członek jej dynastji, został najwyższym Wielk. Ks. Litwy.

Ale ówczesna rada koronna była przedewszystkiem dwulicowa. Improwizuje w osobie prawnuczki Kaźmierza Wielkiego dziedziczkę tronu, a jednocześnie uznaje dziedzictwo tegoż tronu w osobie Władysława Jagiełły, zawierając umowę z radą koronną litewską, że, w razie gdy tenże umrze bezdzietny, natenczas obie rady wspólnie króla obierać mają. [10]) Król przedewszystkiem życzył sobie męzkiego potomka, aby na obu państwach jedną dynastję z krwi swojej ustalić. Miał już lat 70, trzecie małżeństwo było bezpłodnem, zamierzone związki z zagranicznemi domami nie odniosły skutku, a w kraju niespokojność wielka być musiała, kto będzie małżonkiem jedynej już dorastającej dziedziczki tronu, a przeto Polski królem.

W takim zamęcie sędziwy król postanowił temporyzować [11]) póki się da, i polegać na dobrej swej gwiaździe, która go dotąd nie opuściła.

W r. 1421, gdy Jadwiga dochodziła wieku, w którym pierwsza żona ojca jej już była koronowaną i jemu poślubioną, ojciec nie daje jej męża, lecz zaręcza ją za pośrednictwem kilku panów polskich z młodziutkim synem margrabiego brandeburskiego, najwierniejszego sprzymierzeńca Krzyżaków, który po zaręczynach został na królewskim dworze w Krakowie, i jako ewentualny następca tronu, tamże wraz z królewną wychowanym był. Zaręczyny odbyły się w obecności rady koronnej, która nawet udatniejszego konkurenta odsunęła [12]) W ślubnym pakcie postanowiono, że jeżeli król nie zostawi po sobie synów, korona spada na córkę i jej małżonka; w przeciwnym razie, królewna ma tylko otrzymać posag stutysięcy florenów w złocie. [13])

(C. d. n.)

---

[6]) Non vulgaris metus Vladislaum regem pervaserat de regno Poloniae se ejciendum fore.

[7]) Codex dipl. Prussiae 6 tom dok. 86.

[8]) Monent (primores) ne unius consortis haeredis regni Poloniae se a regno Poloniae resiliise praesumat superesse aliam haeredem regni Poloniae aeque justam virginem annam etc. (Długosz pod r. 1400).

«Sie meinem (t. j. rada koronna), dass Anna des Grafen von Czilen Bruders-Tochter die nächste Erbinin sey zum Reiche zu Polan». Voigt codex diplom. Prussiae tom 6.

[9]) Consiliarorum consilio reductus est haeredem Hedvigi propinquiorem Annamcopula matrimonii illi consociandam (Długosz r. 1401. Tę datę podaje rocznik Świętokrzyski z dodatkiem, że r. 1402. koronowaną została, (M. P. t. 3.) o czem Długosz nie wspomina. Rocznik Miechowski zaś i kronika pruska Jana de. Posilge (M. P. t. II. i ser. r. purs. t. 3.) podają, że ślub miał miejsce 29. Stycznia r. 1402.

[10]) Obacz niżej.

[11]) O tej temporyzacji właściwie zwlekaniu wydania córki za mąż, wspomina z naciskiem dopełniacz rocznika szamotulskiego (M. P. t. II. str. 864). «Quae» (t. j. Jadwiga, córka króla) hucusque in virginitate permanet patre nescitur quo animo eam tradere marito non curante.

[12]) Długosz pod r. 1421.

[13]) «Pacta matrimonialia Fridericus marchio Brandeburgiensis nomine Frederici filii sui cum Vladislao rege Poloniae sancit filiamque ejusdem regis Hedvigim praefato filio suo desponsat his conditionibus ut si regem sine filiis decedere contigerit regnum ad filiam et generum devolvi debeat. Si vero rex susceperit filios debeat dare dos Hedvigi etc. (inventarium archivi regni, wydany w Paryżu str. 42).

Dokument ów t. j. intercyza ślubna nosi datę 8. kwietnia r. 1421 i podana w całości w kodeksie dypl. brandeburskim wyd. Riedla t. III. Inne główniejsze jego punkta są: że ślub miał dopiero po pięciu leciech nastąpić, co się zgadza ze systemem temporyzacyjnym króla w tym przedmiocie. Ponieważ zaś on na sobie doświadczył, na jak chwiejnym i dwuznacznem stoi się stanowisku, gdy się jest tylko mężem lub ojcem i opiekunem królowej, postanowiono, że mąż i żona w danym razie stają się dziedzicami tronu i oboje koronowani być mają, a gdyby królowa po ślubie umarła, mąż a nie siostry jej po niej nastąpią. Nakoniec, jeżeli nie córka, ale synowie króla tron posiędą i bezdzietni umrą, w tym razie córka i jej mąż nie mają po nich nastąpić, naród przeto króla sobie obierać ma.

ZADORA

Historja z końca XVIII. wieku.

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Późno już do Kodnia powrócili, i dobrze że Łowczy ich na krupnik prosił po drodze, bo tu już wieczerzy spodziewać się nie było można. Papierów kupa czekała na Jacka. Koniuszy zaraz z kluczami poszedł wydawać obroki.

Następnych dni stary pan Stefan, który miał afekt szczególny do Zadorskiego, nie spuszczał go z oka. Miał się czemś zajmować w domu, jednak ten młody, milczący, skromny i, przeciwko obyczajowi wieku swego i stanu, pokorny a nieśmiały chłopak drażnił go jak zagadka. Miał zarazem sympatją dla niego i niepokój jakiś o przyszłe losy człowieka, który tak mało się troszczył o przyszłość swoją i rady sobie dawać nie umiał.

Chwilowo znajdowała się właśnie w rezydencji kodeńskiej księżna wojewodzicowa, ulubieniec jej i pełnomocnik Strażnik Koronny i wiele innych osób, pościąganych tu interesami wielce zawikłanemi. Księżna, jak wiadomo, zajmowała się nietylko swojemi długami, swataniem syna, ale polityką, sejmikami, wyborem posłów i krescytywą swoich klientów. W czasie pobytu w Kodniu dosyć liczny fraucymer, tak wesoły i swobodny jak sama pani, otaczał ją i przyczyniał się wielce do ożywienia na jakiś czas tej pustyni. Pan Stefan Drobisz, jak wszyscy inni dworzanie księżnej, chętnie wieczorami chodził do wielkiej izby panieńskiej, w której za dnia haftowano, prasowano i przygotowywano stroje, a w tej porze za-

siadano do bardzo ożywionej gawędki, której bujne śmiechy nieraz do salonów dochodziły. Księżna, choć się namarszczyła, była pobłażająca. Rej wiodła w tym drugim salonie średnich lat panna, zaufana powiernica pani, panna Klara Macierzyńska, która niegdyś pięknością, a dziś dowcipem nawet w Warszawie słynęła.

Bardzo skromne miejsce pierwszej panny respektowej, które zajmowała u księżnej, nie przeszkadzało jej być osobą mającą w świecie pewne znaczenie. Przez jej ręce przechodziła nie jedna tajemnica i serca i państwa, z jej pomocą po cichu zawiązywały się intrygi, był to ajent księżnej, pośrednik wielu frymarków, i nie jeden powiatowy dygnitarz jej był winien order św. Stanisława, którym go Król J. M. zaszczycić raczył.

Pełniac tyle rozmaitych funkcji, panna Klara miała sposobność zebrać sobie kapitalik wcale piękny i rozum ten, że go u księżnej pani nie umieściła. Niegdyś bardzo piękna, tak że zarówno z hr. Thomatis i wielu paniami miała szczęście służyć za model do obrazów Bacciarellego, bardzo zalotna, panna Klara dotąd jeszcze została wolną, lecz mówiono, że już za własnym domem, odpoczynkiem i zamążpójściem tęskniła. Pięknej postawy, zbyt może tylko okrągła i form nadto wydatnych, z twarzyczką o dwóch podbródkach i mało znacznym wąsikiem na wierzchniej wardze, panna Klara, przez księżnę zwana Klaryssą, po nużącem sznurowaniu ust w salonie, lubiła u siebie swobodnie sobie pozwolić się pośmiać ze słówek dwuznacznych i tłustych; gromadzić młodzież i młodszym swym podkomendnym dozwalała też przy swoim nadzorze pochichotać i podrażnić młodzież.

O szarej godzinie schodzili się kto mógł, panny siadały na sepetach, kufrach i ławkach, Klaryssa zajmowała miejsce na fotelu dla niej przeznaczonym, a dworzanie stali, przechadzali się, lub niekiedy przysiadali się do swych bogiń.

Stary pan Stefan, choć do płci pięknej, jak mówiliśmy, już żadnych sobie praw nie rościł, lubiał wieczorami przychodzić do panny Klaryssy, aby się pośmiać z drugimi.

Tego wieczora Starsza panna była dosyć kwaśną. Dłubiąc w zębach, sparta o krawędź fotelu, narzekała za coś na księżnę.

— Skarży się, płacze, złości, włosy sobie rwie — a, jakem poczciwa (miała takie przysłowie) sama sobie winna. Zapłacze się, zakaprysi, potem rozgorączkuje... Tak było i z królem i — ze wszystkimi! Jakem poczciwa!

Koniuszy, który słuchał a nie lubił rzeczy kwaśnych, rzekł żywo:

— Nie trzeba brać do serca chwilowych przypadłości! Nie tyleśmy to już przeżyli. Nasza pani, prawda, gorąco bierze wszystko, ale u niej, szast, prast, prędko wszystko przechodzi.

Klaryssa głową potwierdziła tylko.

— Powiem panu Stefanowi — dodała ciszej — że mnie już ta służba kością w gardle. Jakem poczciwa, mam jej dosyć, radabym spocząć.

— A no, tylko panna Rejentówna niech zapowie — rzekł Drobisz — posypią się konkurenci, co jej zechcą towarzyszyć na pustynią.

Rozśmiała się Klaryssa.

— Jestem trudna! — rzekła.

Potem oczyma potoczyła po pokoju do koła.

— Cóż to! Zadorskiego nie ma?

Uwaga ta miała znaczenie, które baczności Stefana nie uszło.

— E! ten Jacek, to oryginał, odezwał się — on tu rzadko kiedy się zjawia, a mało go i gdzieindziej widać. W kancelarji siedzi, pisze za dwu albo za trzech, — gdy ma chwilę spoczynku, to książkę gdzie jaką wykradnie i w kącie się z nią zabawia! Z niego pociechy nikomu!

Na tę naganę nie odpowiedziała panna Klaryssa.

— Osobliwszy młody człek, na księdza czy co! — szepnęła.

— No — a ja go lubię — dołożył Koniuszy — stateczny, uczciwy, tylko ma wadę — nieśmiały jest. Młodemu z tem na świecie ciężko... Ludzie zadepczą.

Klaryssa słuchała.

— Niechaj by pan Koniuszy go zanimował — rzekła — a to tak zgnije w kącie. Żeby też nie przyjść ot i tu z innymi się pośmiać... Myślałam zawsze, że to z dumy robi.

— Gdzie zaś! — rozśmiał się Drobisz — tchórz jest. Ja to najlepiej wiem.

— A z kąd? — zapytała ciekawie Klaryssa.

P. Stefan wąsa pogładził.

— Trafia mu się partja co się zowie, gdzie go panna ciągnie sama, ledwie że nie mówi — weź mnie asindziej — a ten niuńka, ani kroku.

— Gdzie? kto? jaka panna — !bardzo żywo podnosząc się z poręczy, na której była sparta — odezwała się p. Klaryssa.

— Łowczanka z Wólki! — szepnął Drobisz.

— Ma dobry nos! — rozśmiała się, uspokojona siadając znowu wygodniej starsza panna — tam go Wysocki nie dopuści.

— Jaki? który? — zapytał z kolei Koniuszy, mocno zdziwiony.

— Żebyś też asan nie wiedział! — odparła panna. — Jakem poczciwa! chyba zapomniałeś. Kocha się w niej, pewno od lat sześciu Ksawery Wysocki, zaklął się słyszę, że kiedy ona jego nie chce — bo nie chce — to nikogo do niej nie dopuści, i albo sam zginie, lub każdego konkurenta uśmierci. Jędrzykowicza już obciął, Jabłczyńskiego przepędził, a byle się Zadorski posunął i z nim będzie to samo.

— No! tego to się on znowu nie zlęknie — rzekł Koniuszy — bo siłacz jest i w szablę zagrać umie — ale dziumdzia!! niunia z niego!

— Na kapucyna! — rozśmiała się p. Klaryssa.

— Nawet i to nie — poprawił Koniuszy — bo kapucyni słyną ze śmiałości i zuchwalstwa a on —

Ręką dokończył. Panna była markotna, dołożyła po cichu.

— Przyprowadził byś go tu czasem...

Rzuciła okiem, zrozumiał Drobisz, że panna dojrzała interesowała się młodzieńcem. A była i to pod względem finansowym partja doskonała, szacowano Macierzyńską na kilka tysięcy czerwonych złotych, przy tem dożywocie albo zastawa w Kodeńszczyźnie były pewne, a stosunki panny bardzo rozgałęzione do wszelkiej promocji otwierały drogi.

Zwała się kuzynką Biskupa S...., chociaż ludzie się z tego uśmiechali — i wcale czego innego domyślali.

Ta różnobarwna przeszłość panny Klaryssy, dla przyszłego jej męża, korzystną być mogła, ale przyjemną — trudno powiedzieć.

Koniuszy też jako przyjaciel nigdy by mu blizko czterdziestoletniej p. Klaryssy nie swatał. Mruknął coś niewyraźnego i na tem poprzestał, rad że się dowiedział o Ksawerym Wysockim, o którym chciał pomówić z panem Jackiem.

Drugiego dnia zeszli się u marszałkowskiego stołu. Zadorski od ostatnich odwiedzin u Łowczego w sobie był zamknięty, smutny, i nie ukazywał się prawie. Koniuszemu się zdało, że zmizerniał. Przyzostał po skończeniu obiadu, aby się z nim rozmówić.

Jakoż we dwóch tylko znaleźli się w końcu na ławach u stołu.

— Coś ci ostatnie polowanie na humor nie posłużyło — odezwał się chrząkając znacząco Koniuszy. — Chodzisz jak przybity.

— Ja!

— A któż? panna Rejentówna Klaryssa, pytała mnie o acana, czemu wieczorami do niej nie uczęszczasz na konwersacje? Hm! I ta na waszeci patrzy miłem okiem, tylko to — tłusty połeć, (po cichu grubijańsko dodał) nieco odleżały.

Uśmiechnął się i skrzywił pan Jacek.

— Hm! i ten ci nie do smaku? spytał Koniuszy.

Ramionami ruszył Jacek, z resztek chleba kręcił gałki i toczył je po stole zamyślony.

— A to acan wiesz — dołożył stary — że w Łowczance od lat sześciu kocha się zapamiętale Ksawerek Wysocki, i poprzysiągł, słyszę, że nikomu do niej dostąpić nie da, a dwu już podobno obciął.

— No, to co? — zapytał obojętnie Zadorski.

— Pytam tylko, czy się go nie obawiasz?

Zadorski się rozśmiał.

— Ani mi on w głowie! — rzekł. — Rąbie się dobrze i jak się napije, do oczów skacze, ale to tam!!

Gałką cisnął o stół i wstał z ławy. Koniuszy nań popatrzał i ruszył się także.

— No, nie pójdziemy do starszej panny?

— A ja tam po co?

Żachnął się na tę odpowiedź stary, a potem ręce obie położywszy na ramionach Jackowi, popatrzał mu w oczy długo.

— Jacku, kochanie! z ciebie chyba nigdy człowiek nie będzie! — rzekł. Mam

że ci ja to mówić, że się na polityce światowej wcale nie znasz. No! panny Rejentównej możesz nie chcieć, to się rozumie, choć dla chudego pachołka to gratka wielka! ale i nie mając serca, gdybyś się akomodował, grzecznym był, skorzystałbyś. Ma do ciebie słabość, szepnęłaby księżnie, księżna by słowo rzekła Strażnikowi, drugi konik i coś lenungu by przypłynęło!

Potrząsnął głową jakoś dziwnie Jacek i uśmiechnął się smutnie.

— Ot, gdybym wiedział — rzekł — że sobie przez nią urlop wyrobię.

— A tobie on na co? ciekawie następując odezwał się Koniuszy.

— Mam potrzebę — odparł cicho i niewyraźnie chłopak. Możebym — możebym gdzie — możeby się gdzie jakie papiery wynalazły.

P. Stefan popatrzał nań bacznie.

— Na długoż byś chciał jechać? — spytał.

— Tydzień, dwa — bąknął Jacek.

— No, to chodź ze mną do starszej panny, ja ci mówię, akomoduj się... Przecie ona od razu cię nie zje...

Zawahawszy się nieco — Zadorski wziął za czapkę.

— Chodźmy — rzekł.

Szli tedy przez dziedziniec, choć jeszcze było zawczasu trochę, wprost do pokoju panieńskiego, w którym przy kawie już siedziała panna Rejentówna.

Zobaczywszy wchodzącego tego, którego sobie życzyła, ze strategją prawdziwie niewieścią udała naprzód, że go nie widzi, zajęła się kawą i dopiero gdy przystąpił z powitaniem, spojrzała nań, dosyć surowo...

Koniuszy rozmowę zagaił; panna była jakby roztargniona i kwaśna. Trącał łokciami Jacka, aby się przymilał do niej, ale chłopak zakłopotany nie umiał czy nie chciał.

Dopiero gdy Rejentówna, widząc że go trzeba ośmielić i rozruszać, zaczęła prześladować Łowczanką, trochę się ożywił. Koniuszy usunął się ku pannie Zielońskiej, młodej roztrzepanej wielce blondynce, która do zastąpienia kiedyś Klaryssy aspirowała, a ich zostawił we dwoje.

— Waćpan się dziczysz, co młodemu nie przystało — odezwała się z powagą i minami, które zupełnie wojewodzicowę naśladowały. — Młodość na to pan Bóg dał, aby się jej użyło.

— Moja młodość, panno Rejentówno dobrodziejko — rzekł Jacek — nie taka jak drugich. Żadne jej słonko nie świeciło; sierotą byłem i jestem. Sam jeden w świecie, daleko nie zajdę ani weseląc się, ani u ludzi łaski szukając.

— E! bo to z wasana desperat, jakem poczciwa — przerwała Rejentówna. Mało kto sierota! Młodość to matka. Kto ją ma, sierotą nie jest, na starość dopiero sieroctwo prawdziwe... Pewnie że o Łowczance myśleć i tem sobie serce psować, nie do rzeczy by było, ale czy to mało ludzi i panien na świecie.

Kulejąc dalej wlokła się tak rozmowa, której napróżno obrót romansowy starała się nadać panna Klaryssa, spoglądała w oczy Jackowi, iskry z nich dobyć nie mogąc i trochę ją złości brały.

Gdy wreście dosyć niezgrabnie wyraził prośbę swą najuniżeńszą co do dwutygodniowego urlopu, ruszyła ramionami prawie gniewnie. Wypytała go po co i na co uwolnienia potrzebował, kiedy powróci, a ostatecznie pół gębkiem coś przyrzekła.

Jacek ją w rękę pocałował, co przedziwne wywarło wrażenie, bo mu rękę ścisnęła panna Rejentówna i dodała protekcjonalnie.

— Już się nie turbuj, ja sama powiem Strażnikowi, a on dla mnie — musi to zrobić. Jakoż nazajutrz w kancelarji pan Długoszewski pryncypalny eo tempore sekretarz księżnej, oświadczył kwaśno panu Jackowi, którego nie lubił, że mu na żądanie dano urlop na dni dziesięć, z tem by dłużej ani godziny się nie absentował pod utratą miejsca w kancelarji.

Tegoż dnia pobiegł Rejentównie w jej pokoju prywatnym podziękować Jacek. Tu go miłościwie bardzo zatrzymano, musiał siąść, musiał się napić likworu, zakąsić piernikiem, trzy razy pannę w ręce całować, i gdyby nie to, że wpadła Zielońska na gwałt wzywając Rejentównej do księżnej, nie łatwo by się uwolnił.

Wieczorem Koniuszy znalazł go w stajni opatrującego już konia i napróżno starał się wybadać o cel podróży.

— Dosyć że z niego, ani dobrym, ani złym sposobem nic dobyć nie można — rzekł w duchu. — Jak się zatnie, gdyby koń narowisty, choć pod nim słomę pal!

(C. d. n.)

Jeszcze o t. z. magnetyzmie zwierzęcym.

Skandale wiedeńskie z magnetyzerem Hansenem, znowu zwróciły uwagę świata na pewne zjawiska chorobliwe, sztucznie wywoływane, a które popularnie podsuwają się pod jedną nazwę: snu magnetycznego. W ostatnich kilku miesiącach wytworzyła się w Niemczech cała literatura magnetyczna, a ponieważ w dyskusji zabrały głos pierwsze powagi naukowe, więc spodziewać się należy, że sprawa ta tajemnicza ostatecznie wyjaśnioną zostanie.

Niedawno wspominaliśmy już pokrótce w „Tygodniu" o historycznym rozwoju tej dziwnej sprawy, dziś postaramy się podać stan jej obecny, według sprawozdania dr. Gscheidlena, który się nią przez dłuższy czas zajmował.

Hansen pokazywał swe przedstawienia w takim porządku. Zapraszał około dwudziestu osób na scenę i sadzał ich na krzesłach, tak, że publiczności widzieć nie mogły. Każdej z osób dawał do ręki kawałek szkła szlifowanego, które było przymocowanem na czarnej podkładce i kazał nań patrzeć bez przerwy. Podczas tego przypatrywania się chodził od jednej osoby do drugiej i robił nad niemi różne ruchy rękami. Po kilkakrotnem powtórzeniu tych operacji, wybierał z grona siedzących, tych, którzy wyrazem twarzy, lub innemi odznakami dawali poznać, iż będą skłonni do zaśnięcia. Nad tak wybranymi „mediami" prowadził dalej swoje „passy", pocierał rękami, kazał zamykać oczy i usta i ogłaszał, że te media nie mogły same otworzyć ani warg ani powiek. I rzeczywiście w wielkiej ilości wypadków, rzecz tak się miała. Inne prowadził za palec, przeciw ich woli, po całej scenie, innym powiadał, iż zapomniały swego nazwiska i gdy je o to pytał, rzeczywiście nieraz nic nie odpowiadały. Innym kazał dłonie złożyć w kułak potem swemi rękami potarł ich ramię i gdy później żądał, aby dłonie roztworzyli. nie mogli tego doprowadzić do skutku, lub też czynili to z wielką trudnością. Niektórym z medjów wmawiał, iż się znajdują w ogrodzie owocowym, prosił je o zrywanie owoców, a na to miejsce dawał im kartofle, które były gryzione w przekonaniu, iż są gruszkami. Na zakończenie, pocieraniem rąk, nóg i tułowia, wprowadzał niektóre osoby w stan naprężenia takiego, że kładł je na dwóch stołkach tak, że głowa oparła się o jeden, a pięty o drugi. Reszta ciała swobodnie wisiała w powietrzu. Potem sam stawał po środku pokazując, jak silnem było stężenie mięśni.

Doświadczenia Hansena wywołały ogromnie wiele wrzawy.

W Dreźnie towarzystwo przyrodników i lekarzy zaprosiło go na osobne posiedzenie w d. 22. kwietnia z. r. Oprócz lekarzy znajdowało się na posiedzeniu wiele drezdeńskich znakomitości, a między niemi i król saski. Lecz większa część doświadczeń Hansenowskich, nie udała się wcale. Jeden z profesorów politechniki zabrał głos, że w doświadczeniach Hansena gra rolę wyłączną zjawisko tak zw. *hypnotyzmu*, stanu uśpienia nerwowego, który się wywoływa długiem patrzeniem na jeden punkt i oderwaniem myśli od świata zewnętrznego. Nie może być nawet mowy o jakiej nowej emanacyjnej sile, której panem mianował się Hansen.

Na drugiem posiedzeniu, otwartą została debata, nad doświadczeniami, które Hansen pokazywał. Większość znaczna, lekarzy była tego zdania, że t. z. *media*, indywidum słabej siły woli, podlegają pod wpływem zręcznych manipulacji Hansena, dziwnego otoczenia i ciągłego wpatrywania się w jeden punkt, zasypianiu, i że wtedy robią to, co im się każe.

Lecz jeśli się bliżej zastanowimy nad tem, to przyjdziemy do przekonania, iż zapatrywanie to jest błędnem.

Doświadczenia Hansena polegają na:

1. Wywoływaniu snu, lub stanu do snu podobnego.

2. Wywoływaniu pewnej sztywności w członkach.

3. Wykonywaniu ruchów naśladowczych.

4. Wywoływaniu hallucynacji.

Przyrodnik, jeśli ma wydać swe zdanie o rzetelności pewnych faktów, przedewszystkiem konstatuje fakta, nie myśląc a priori o ich tłumaczeniu. Otóż zupełnie niepotrzebnie poddawano dyskusji tę rzecz, czy Hansen posiada jakąś osobną siłę magnetyczną, czy też nie? Do niczego to doprowadzić nie mogło. Ażeby poznać sprawę, trzeba było starać się naśladować Hansenowskie doświadczenia, i rzeczywiście lekarze wrocławscy to uczynili

Hansen daje do ręki kawałek szkła szlifowanego i każe długo, nieruchomie nań patrzyć. Jeżeli to sami spróbujemy, to przekonamy się, że oko nasze prędko się zmęczy i przestaniemy odróżniać rękę od szkiełka i całe pole widzenia zacznie się spływać i przedmioty zacierać.

Wiele osób odrazu wpada wtedy w stan

snu. Już Mesmer sto lat temu, wiedział dobrze o tem zjawisku. Lecz nie zajmowano się wtedy niem wcale i dopiero Braid w Manchesterze odkrył je na nowo w. r. 1841. Broid widział jak magnetyzer Lafontaine pokazywał swoje sztuki, i aby teorję tego szarlatana zbić, powymyślał sposoby wprowadzania w podobny stan bardzo zwykłymi środkami. Udało mu się, w obecności 800 widzów, kilkunastu dojrzałych ludzi wprowadzić w stan takiego uśpienia, który nazwał hypnotyzmem. Wszyscy odrazu zaczęli próbę, wpatrując się, w jeden punkt, przez Braida wybrany. Po 10 minutach, powieki u dziesięciu osób, bezwiednie opuściły się a nawet z publiczności przyglądającej się, trzy indywiduum zasnęły, zapatrując się na postępowanie tych, którzy podlegali doświadczeniu.

Lecz nie tylko ludzi można wprowadzać w taki stan wyjątkowy. Zwierzęta niektóre z wielką łatwością jemu podlegają. Znanym jest fakt, że jeśli zmusimy kurę, aby przez dłuższy czas wpatrywała się w jeden przedmiot, to ona usypia i nie rusza się z miejsca. Zwierzęta mają w takim stanie oczy otwarte, silnie oddychają. Wtedy możnaby im nadać takie pozycje, w jakich by na jawie nigdy nie ustali. Można np. wyciągnąć wstecz nogę, rozpiąć skrzydło, a kura się nie oprze i nie pobieży dalej. Łabędzie, kaczki, gęsi, zachowują się w ten sam sposób.

Doświadczenie to opisał jeszcze O. Kircher w r. 1647 w swojej „Ars magna lucis A umbrae“ jako „experimentum mirabile“. Doświadczenie polega na tem, że związuje się kurze nogi i kładzie się ją na stole. Gdy kura się uspokoi, prowadzi się na stole, w poprzek dzióba kredą długą kreskę i zdejmuje się więzy. Kura wpada w stan uśpienia i nie jest w stanie poruszyć się. Heubel w Kijowie przekonał się, że i żaby w podobny sposób uśpić można. Trzeba żabę szybko przewrócić na grzbiet i przeszkadzać w powrocie do normalnej pozycji. Po kilku minutach wpada ona w odrętwienie, trwające nieraz kilka godzin. Oddech z początku jest wtedy przyśpieszonym, później się uspokaja. Uszczypnięcie przyprowadza żabę do zupełnego przebudzenia się w jednej chwili.

Sen hypnotyczny potrzebuje przyzwyczajenia. Najtrudniej przychodzi zasnąć za pierwszym razem. Potem objawy daleko pewniej i wcześniej występują.

Osoby wrażliwe nie potrzebują nawet wpatrywać się w jeden punkt. Niektórym wystarcza jakiś dźwięk jednostajny jak np. drapanie paznokciem o pudełko od zapałek, lub słuchanie uważne chodu zegarka. Prof. Haidenhain pokazywał to na licznem zgromadzeniu lekarzy we Wrocławiu. Trzech studentów zasiadło około stołu, na którym leżał zegarek kieszonkowy. Po dwóch minutach wszyscy trzej zasnęli.

Ciepło działa podobnie jak podrażnienie nerwowe. Można dłuższem trzymaniem ciepłej dłoni na głowie wrażliwego indywiduum, wprowadzić je w stan hypnotyczny. Że tu ciepło gra rolę, można z tego wnioskować, iż miejsce ręki zastąpić może nagrzana płytka z jakiegobądź materjału.

Lekkie podrażnienia skóry tak samo działają. Do tej kategorji zaliczyć należy owe, tak często używane, pociąganie rękami po twarzy, ramionach i piersi tych, których się chce uśpić.

U bardzo nerwowo wrażliwych osób nie potrzeba nawet żadnego podrażnienia zewnętrznego. Samo natężone przekonanie, iż sen się zbliża, wystarcza do wywołania hypnozy. Profesor Haidenhain kazał jednemu ze swoich słuchaczy zamknąć oczy i myśleć tylko o tem, że musi wpaść w sen sztuczny; po kilku minutach zasnął w istocie. Temuż samemu indywiduum powiedział przed południem, iż będzie je usypiał o 4tej po obiedzie i polecił, aby przedtem popatrzyło na zegarek, aby się zorjentować co do czasu. Gdy potem lekarz przyszedł do mieszkania studenta o godzinie 4tej, zastał go w stanie hypnotycznego uśpienia.

Niektóre osoby uśpione w ten sposób, zatrzymują otwarte powieki. Gałki oczne występują wtedy na wierzch i zwracają się ku górze. Źrenica się rozszerza. W takim stanie osoba uśpiona robi przykre wrażenie trupa.

Z tego, co było dotąd mówione, wypada, iż do sprowadzenia snu hypnotycznego potrzeba u osób wrażliwych lekkich podrażnień nerwów, dotyku wzroku i słuchu, a u bardzo skłonnych do hypnotyzmu, samej tylko wyobraźni.

Przebudzenie następuje przez silniejsze podrażnienie tych samych nerwów, jak przez dmuchanie na twarz, uderzenie po ramieniu, wstrząśnienie głowy i t. p.

W stanie hypnotycznego uśpienia daje się zwykle zauważyć wielka nieczułość na ból fizyczny. Można przebijać wtedy igły na wskróś dłoni, bez wywołania wrażenia bolesnego. Starano się ten fakt zastosować do wykonywania kobiecych operacji. Esdaile, chirurg w Kalkucie, wydał w r. 1852 książkę, w której szczegółowo opisuje 200 operacji, wykonanych podczas uśpienia hypnotycznego. I znakomity chirurg francuski Broca opisuje jeden wypadek, w którym wykonał trudną operację na kobiecie, poprzednio uśpionej. Było to w roku 1859, a opis tego wypadku znajdujemy w paryzkich sprawozdaniach Akademji nauk (Comptes rendus). Lecz metoda ta znieczulania poszła w zapomnienie, bo chloroform okazał się środkiem bardziej ogólnym i łatwiejszym w zastosowaniu.

Bardzo ciekawym i ważnym faktem jest to, iż hypnotyzowani mają dążność do naśladowania ruchów, które inni przed ich oczami wykonywają. Gdy się zamknie kułak, to i oni czynią to samo; gdy się otworzy usta, i oni otwierają. Gdy się przed nim idzie, to on zdąża w te same ślady. Dr. Grützner zauważył, iż ruchy uśpionych podczas chodu w śnie hypnotycznym, są podobne do ruchów na jawie. I tak pewien oficer uśpiony szedł swoim uroczystym marszowym krokiem jak na paradzie. Hypnotyczni naśladują i inne ruchy, jak np. pisanie. Dr. Grützner jednemu z uśpionych dał ołówek do ręki, położył przed nim ćwiartkę papieru i nachylił tak głowę, że była ona zwrócona na papier. Potem sam zaczął obok pisać, tak że uśpiony mógł widzieć te ruchy i wnet zaczął je naśladować.

Niektóre indywidua naśladują kaszel i kichanie, inne powtarzają ruchy przy połykaniu.

Te naśladowane ruchy mają oczywiście coś w sobie uderzającego, chociaż i w życiu na jawie są rzeczą dość pospolitą. Dość wspomnieć o zaraźliwości ziewania.

Aby sobie w przybliżeniu wytłumaczyć te ruchy naśladowane, trzeba się zastanowić nieco nad urządzeniem naszego mózgu.

Ogólnie przyjmują obecnie, iż półkula wielkiego mózgu są siedliskiem wszelkich psychicznych czynności. Wiemy bowiem, iż tylko wtedy, gdy te części są nienaruszone, możliwemi są wszelkie sprawy myślenia, czucia i woli. Dalej wie się z bezpośrednich doświadczeń nad zwierzętami, iż gdy się im wytnie te półkola, to ustaje wszelka świadoma czynność, wszelkie czucie, a jednak, mimo to, pozostaje całkowita harmonja i równowaga ruchu. Że u ludzi rządzą te same prawa, to widać na indywiduach, które skaleczone w mózg były.

W zwykłem życiu wykonywamy wiele ruchów bez udziału świadomości. Nazywamy je ruchami „mechanicznemi“. Idąc w zamyśleniu przez ulicę, omija się przechodniów, nawet ich nie poznając. Fortepianiści czytają nieraz nuty, myśląc o zupełnie czem innem, „mechanicznie“ słuchają ich palce bezwiednych rozkazów mózgu, a mózg rozporządza się sam mięśniami palców. Według dość powszechnie panującego przekonania, te ruchy, które dzieją się za wiedzą ludzką, odbywają się za pośrednictwem powierzchnych komórek mózgu, te zaś, które „mechanicznemi“ zowiemy, są od tej zwierzchniej warstwy mózgowej niezależne. Temi ostatniemi ruchami kierują wewnętrzne części. Ponieważ u osób hypnotyzowanych nie ma świadomości, więc ich ruchy naśladowane tłumaczą się podrażnieniem tych właśnie ośrodków. Wszystko przemawia za tem, że ich ruchy są zupełnie niezależne od woli. Robią oni tylko to, co widzą lub słyszą.

Świadomość u niektórych uśpionych jest albo zupełnie usunięta, albo też przyćmiona. Niektórzy zachowują się nawet tak, że o wszystkiem pamiętają. Hypnotyzowani zachowują się po większej części jak ci, którzy sen jakiś przebyli, lecz nie mogą go sobie przypomnieć. W tem, zobaczenie jakiegoś przedmiotu lub osoby, znajdującej się w związku ze snem, odrazu wywoływa sen w całości z zapomnienia.

Czy hypnotyzowani mogą być wprowadzeni w pewien sposób myślenia przez przemawianie do nich, czy sobie uprzytomniają to, co ktoś opowiada? I tak np., czy osoba jedząca w stanie uśpienia kartofle surowe, może myśleć, że je gruszki, gdy się staramy to w nią wmówić?

Odpowiedź na to pytanie wprowadza nas w dziedzinę hallucynacji. Przez dłuższy czas sądzono, że naśladowanie odbywa się zupełnie mechanicznie i osoba naśladująca nic sobie nie wyobraża. Lecz wkrótce przekonano się, że tak nie jest i że hallucynacje istotnie towarzyszą naśladowczym objawom. Jednej z uśpionych osób wmówiono, iż się znajduje w ogrodzie zoologicznym, przy klatce dzikich zwierząt. Opowiadano jej głośno, jak zwierzęta w klatkach biegają i ryczą. Wtem krzyknięto, iż lew się wyrwał z uwięzi. Strach niewymowny odmalował się na twarzy uśpionego i zaczął wołać pomocy. Po przebudzeniu nie wiedział nic o tem, co zaszło, lecz powoli pamięć wróciła.

Innemu wmówiono, iż odbywa podróż po Szwajcarji. Widział wtedy wodę jezior, góry itp.

Nie ulega więc wątpliwości, że u niektórych osób uśpieniu hypnotycznemu towarzyszą hallucynacje.

Interesującem jest, że zmysł smaku zupełnie się przytępia u osób uśpionych sztucznie. Dać im szklankę wody zaprawioną solą, aloesem, lub okropnie gorzką chininą, i powiedzieć im przytem, iż smakuje to dobrze, wypiją z zadowole-

niem. Lecz jeżeli się im da szklankę czystej wody i powie, że jest gorżką, to spluwają z oznakami niesmaku.

Skoro się tylko hypnotyzowane osoby obudzi, wnet powraca świadomość i mózg normalnie pełnić swe funkcje zaczyna. Gdy się obudzi zaraz po wypiciu gorżkiej wody, która wskutek wmówienia doskonale smakowała i którą pił z zadowoleniem, to obudzony odrazu całą gorycz uczuwa.

Jeśli się na to wszystko zwróci uwagę, to cudowność „magnetycznych“ przedstawień pana Hansena znika zupełnie. Lecz mimo to zjawiska te pozostają niezmiernie zajmującemi, i ich zbadanie jest rzeczą godną pracy przyrodników.

O istocie samej snu hypnotycznego przy obecnym stanie badań, bardzo jeszcze mało można powiedzieć. Hypoteza panująca jest ta, że podczas uśpienia rozstrajają się funkcje tych części mózgu, które są uważane za siedlisko świadomości. Ten rozstrój sprowadza za sobą to, iż uśpiony nie może wykonywać dowolnych ruchów, ani samowolnie wstrzymać ruchów nadanych. Zdaje się, że naczynia, doprowadzające krew do wzmiankowanych części zwężają się i następuje chwilowa anemia. Za tem przypuszczeniem przemawia trupia bladość lica i rozszerzenie się źrenicy. Jednocześnie z brakiem przypływu krwi do zewnętrznych części mózgu, zwiększa się przypływ do wewnętrznych, które rozdrażniają się i wskutek tego ruchy naśladowcze ożywiają się znacznie.

Badania tych zjawisk odegrają niedługo ważną rolę. One dają w rękę nową metodę badania funkcji mózgowych, metodę, która uzupełnia wiwisekcją i anatomią.

Główne zasługi wprowadzenia sprawy na poważne tory położyli Charcot w Paryżu i Haidenhain w Wrocławiu. Oni postawili tamę przeciw grożącej powodzi przesądów i mistycyzmu, dając sprawie obrót czysto przyrodniczy.

Już teraz nie może być mowy o nowym rozkwicie mesmeryzmu. Uzbrojeni w broń, jaką dają ścisłe nauki, opierając się na doświadczeniach, zaczynają badacze zajmować się tą ciemną sprawą. Leży ona w pewnych rękach i prędko zniknie cała jej cudowna pokrywka, która tak ją dotąd wstrętną czyniła.

JAK DWOM ROSSYJSKIM JENERAŁOM USŁUGIWAŁ JEDEN CHŁOP.

Powiastka Szczedrina

(z rossyjskiego).

Było raz dwóch znakomitych jenerałów; nagle, pewnego pięknego dnia, znaleźli się oni na bezludnej wyspie.

Całe życie służyli w jednej Registraturze, tam się urodzili, wychowali i zestarzeli, zatem nie umieli nic. Nie znali nawet innych wyrażeń jak: „Racz pan przyjąć zapewnienie mojego szacunku i poważania.“

Registratura została zwiniętą, bo była niepotrzebną, i jenerałowie otrzymali dymisję. Zostali w Petersburgu, najęli sobie kwatery na *Podjaczeskaja*, trzymali kucharki i pobierali pensje emerytalne. Nagle zbudzili się na pustej wyspie obydwa pod jednym dachem. Z początku, naturalnie nic pojąć nie mogli i rozpoczęli rozmowę:

„Ja miałem cudowny sen ekscelencjo— rzekł jeden z jenerałów — zdawało mi się że mieszkałem na bezpłodnej wyspie“.

Powiedział to i podskoczył. Drugi podskoczył także. „Mój Boże! co to znaczy! Gdzie jesteśmy!“ — zawołali obydwa z najwyższym niepokojem.

Zaczęli jeden drugiego dotykać, ażeby dowiedzieć się czy to nie sen, i czy to wszystko naprawdę się im przytrafiło. Gdy się tak nawzajem doświadczali, musieli się nareszcie o smutnej rzeczywistości przekonać. Przed nimi z jednej strony morze, z drugiej mała plamka ziemi a po za nią znowu bezkrańcowe morze. I zapłakali jenerałowie po raz pierwszy odkąd Registratura została zamkniętą.

„Jakby to teraz miło było napić się filiżankę kawy“ odezwał się jeden jenerał; nagle jednak przypomniało mu się jego położenie i po raz drugi zapłakał.

„Co teraz poczniemy“ mówił przez łzy, — „gdybyśmy naprzykład napisali o tem wszystkiem raport, na co to by się zdało?“

„Wiesz co ekscelencjo, idź na prawo a ja pójdę na lewo, to będzie najlepiej“ rzekł jenerał drugi, który prócz w Registraturze służył także w szkole kantonistów, jako nauczyciel kaligrafii, przez co naturalnie był o wiele mędrszy.

Powiedziano — zrobiono. Jeden jenerał poszedł na prawo i widział drzewa obciążone różnego rodzaju owocami. Chciał zerwać jedno jabłko. ale wisiało tak wysoko, że chybaby musiał po nie drapać się na drzewo. Spróbował, lecz mu się nie udało i podarł tylko sobie koszulę. Szedł dalej i przyszedł nad rzekę; w rzece pływały i igrały ryby, zupełnie tak samo jak u rybaków na Fontance.

„Ach gdybym te ryby miał w domu na *Podjaczeskaja* pomyślał jenerał i ślinka mu do ust poszła.

Potem udał się do lasu; tam gwizdały jarząbki, wabiły się głuszce, biegały zające.

„Mój Boże tyle potraw“ — zawołał jenerał, i aż mu się niedobrze z głodu zrobiło.

Nie było co robić, z próżnemi rękami powrócił na miejsce rozmowy, gdzie zastał już drugiego jenerała.

„No i cóż ekscelencjo! znalazł pan co?

„Tak, znalazłem stary numer Moskiewskich Wiedomostiej, więcej nic.

Położyli się jenerałowie spać, ale z pustemi żołądkami spać trudno. Wkrótce zaniepokoiła ich myśl kto będzie podnosił ich pensje emerytalne, i zaczęły prześladować obrazy widzianych w ciągu dnia owoców, ryb, jarząbków, głuszców i zajęcy.

„Ekscelencjo, ktoby to był pomyślał, że ludzkie pożywienie, w stanie pierwotnym lata, pływa i na drzewach rośnie?“—rzekł jeden z jenerałów.

„Tak“ — odrzekł drugi jenerał, — „ja sam dotychczas myślałem że bułeczki, które w kawiarniach podają, odrazu w tej formie na świat przychodzą.“

„Z tego wynika, że kto chce zjeść kuropatwę, musi ją wprzód złapać, zabić, oskubać i upiec... ale jak to się robi?“

„Tak, jak to się robi“ — powtórzył jak echo drugi jenerał.

Zamilkli i spróbowali zasnąć; ale głód rozpędził sen. Głuszce, cietrzewie, kuropatwy, tak soczyste, tak rumiane, z ogórkami, piklami i innemi sałatami, ciągle im stawały w oczach.

„Zdaje mi się że potrafiłbym w tej chwili zjeść moje własne buty“ — rzekł jeden jenerał.

„I rękawiczki, dobrze przenoszone byłyby nie złe“ — westchnął drugi.

Nagle, obydwaj jenerałowie rzucili na siebie pożądliwym wzrokiem; w ich oczach zabłysł złowrogi ogień, zęby szczękały, a pierś wydawała przytłumione warczenie. Pełzając zbliżyli się do siebie i w jednej chwili rzucili się jeden na drugiego. Płynąca krew przyprowadziła ich wszakże do opamiętania.

„Boże zmiłuj się nad nami“ — zawołali obydwa, jakby z ust jednych „tym sposobem moglibyśmy pożreć się nawzajem.“

„Lecz jak u licha dostaliśmy się tutaj. Co za zły duch urządził nam tę psotę.“

„Musimy ekscelencjo rozerwać się jaką rozmową,“ inaczej może tu zajść zbrodnia i morderstwo — rzekł jeden jenerał.

„Zaczynaj pan“ odpowiedział drugi.

„Co ekscelencja o tem sądzi, dla czego słońce najprzód wschodzi a potem zachodzi a nie odwrotnie?“

„Jesteś pan dziwnym człowiekiem, ekscelencjo, pan także najprzód wstaje, potem idzie do departamentu, pisze, a w końcu dopiero kładzie się spać.“

„Dla czegoż nie można tego wszystkiego brać przeciwnie; najprzód kładę się spać, następnie widzę różnorodne sny a nakoniec wstaję?“

„Tak... zapewne... Gdy jednak służyłem w departamencie, myślałem zawsze tak: Teraz jest rano, potem będzie dzień, potem nastąpi kolacja — a nakoniec spanie.

Myśl o kolacji zbiła ich obydwóch z tropu i rozprawę zaraz w początkach przecięła.

„Słyszałem od pewnego doktora, że człowiek długo żyć może własnemi swojemi sokami zaczął na nowo jeden jenerał.

„Jak to?“

„Bardzo prostym sposobem, soki własne, wydają z siebie soki nowe, te znowu nowe, i tak dalej, aż się soki skończą.“

„A wtedy co?“

„Wtenczas trzeba jeść potrawy“

„Niech djabli porwą.“

Jednem słowem, jakąkolwiek jenerałowie rozpoczynali rozmowę, zawsze ich doprowadzała do potraw, co jeszcze bardziej podniecało ich apetyt. Postanowili stanowczo rozmowę przerwać, a natomiast czytać znaleziony numer Moskiewskich Wiedomostiej.

„Wczoraj u szanownego Naczelnika naszego starożytnego grodu miał miejsce uroczysty obiad“ — czytał jeden jenerał drżącym głosem.

„Stół był zastawiony na 100 osób z nadzwyczajnym przepychem, potrawy wszystkich stron świata zdawały się dawać sobie *rendez vous* na tej czarującej uroczystości. Tam jaśniał złocisty sterled; tu bażant, wychowaniec kaukaskich lasów, i tak rzadka w naszym klimacie, w lutym poziomka...“

„Cóż u djabła! Czyż nie możemy znaleźć ekscelencjo innego tematu?“ — zawołał jenerał wzburzony, odebrał gazetę drugiemu i czytał:

„Z Tuły nam piszą: wczoraj klub tutejszy święcił uroczystość na cześć złapanego w rzece Upa jesiotra (wypadek jakiego nie przypominają

sobie najstarsi mieszkańcy miasta.) Jesiotr był obłożony ogórkami i z bukietem pietruszki w paszczy wniesiony na olbrzymim drewnianym półmisku. Dyżurujący w tym dniu dyrektor klubu doktor P. pilnował sumiennie ażeby każdy gość kawałek ryby otrzymał. Sosy były w różnych gatunkach a wszystkie wykwintne...“

„Pozwól no, ekscelencjo i pan nie zdajesz się być dość ostrożnym w wyborze lektury“ przerwał drugi jenerał, odebrał napowrót gazetę i czytał:

„Z Wiatki nam piszą: Jeden z najstarszych tutejszych mieszkańców wynalazł następującą oryginalną metodę gotowania zupy rybnej: bierze się żywego miętusa, bije się go rózgą i gdy wskutek strachu skóra mu napuchnie...“

Jenerałowie spuścili głowy. Gdzie tylko rzucili okiem, wszystko przypominało im jedzenie. Ich własne myśli sprzysięgały się przeciwko nim gdyż jakkolwiek starali się unikać wspomnienia befstyku, wspomnienia te cisnęły się im gwałtownie.

Nagle w głowie jenerała, który był nauczycielem kaligrafji błysnęło światło..

„Co myślisz ekscelencjo“ — zawołał wesoło: gdybyśmy znaleźli chłopa?

„Jakto chłopa?“

„No — po prostu chłopa... takiego jak wszyscy chłopi! przyniósłby nam zaraz chleba, i jarząbków i ryb.“

„Hm... chłopa... ale gdzie go znaleźć, kiedy tu żadnego nie ma.“

„Jakto nie ma? chłopi są wszędzie, trzeba ich tylko znaleźć! Niezawodnie jest tu gdzie jaki schowany, ażeby tylko nie pracować.“

Myśl ta tak orzeźwiła jenerałów że natychmiast się porwali i poszli szukać chłopa. Długo błądzili bez skutku po wyspie, aż nakoniec przenikliwy kwaśny zapach razowego chleba i baraniej skóry naprowadził ich na ślad. Pod drzewem leżał na plecach z ręką podłożoną pod głowę olbrzymi chłop i bezwstydnie marnował czas roboczy. Oburzenie jenerałów było bez granic.

„Ty śpisz, leniwcze!“ — krzyknęli na niego, i ani myślisz o tem że tu dwóch jenerałów już od 48 godzin z głodu umiera! Natychmiast marsz do roboty!

Chłop podniósł się, zobaczył że to byli prawdziwi jenerałowie i byłby uciekł, ale go gwałtem zatrzymali. Wtedy rozpoczął swoją czynność. Najprzód wdrapał się na drzewo i zerwał dla każdego z jenerałów po dziesięć najdojrzalszych jabłek a dla siebie jedno kwaśne. Potem zaczął kopać ziemię i znalazł kartofle; następnie wziął dwa kawałki drzewa, potarł jeden o drugi i rozniecił ogień; potem zrobił z własnych włosów sidło i złapał jarząbka. Nakoniec ugotował tyle jedzenia, że jenerałom nawet przyszło na myśl i temu próżniakowi dać odrobinę.

Jenerałowie przypatrywali się pracy chłopa i serca ich skakały z radości. Zapomnieli już, że wczoraj prawie umierali z głodu i myśleli sobie: Jakto przyjemnie jest być jenerałem, nigdy się nie ginie.

„Czy panowie jenerałowie kontenci? — zapytał olbrzymi próżniak.

„Bardzo zadowoleni, mój przyjacielu, widzimy twoją gorliwość!“ — odpowiedzieli jenerałowie.

„Pozwólcie mi panowie teraz odpocząć.“

„Odpoczywaj, przyjacielu, odpoczywaj, ale wprzód skręć nam kawałek powroza.“

Chłop uzbierał dzikich konopi namoczył je w wodzie, obrobił, i na wieczór powróz był gotowy. Tym powrozem jenerałowie przywiązali chłopa do drzewa, ażeby im nie uciekł, a sami położyli się spać.

Dzień upływał po dniu, a chłop tak się dobrze wprawił, że nawet nauczył się gotować zupę w własnej pięści.

Nasi jenerałowie zaczęli tyć i nabierać fantazji. Cieszyli się że mają tu darmo utrzymanie a tam w Petersburgu pensja ich coraz bardziej rośnie.

„Jak myślę, ekscelencjo, czy wieża Babel egzystowała naprawdę, czy też to jest tylko bajka?“ — zapytał raz po śniadaniu jeden jenerał drugiego.

„Ja myślę, ekscelencjo, że egzystowała naprawdę, gdyż jak inaczej wytłumaczyć sobie rozmaitość języków na świecie.“

„A zatem był i potop.“

„Bezwątpienia, gdyż jak inaczej wytłumaczyć sobie egzystencję zwierząt przedpotopowych tem bardziej, że Moskiewskija Wiedomosti piszą...“

„A nie przeczytalibyśmy teraz Moskiewskich Wiedomostiej?

Poszukali gazety, usiedli w cieniu i przeczytali od końca do końca; czytali jak jedzą w Moskwie, jak w Tule, jak w Penzie, jak w Rjazaniu, — i teraz lektura ta nie robiła im przykrości.

* * *

Jakkolwiek bądź, zaczęli w końcu jenerałowie doświadczać nudów. Co raz częściej myśleli o swoich petersburgskich kucharkach a nawet niekiedy pokryjomu płakali.

„Co tam się teraz dzieje na *Podjaczeskaja,* ekseclencjo?“ — zapytał jeden jenerał drugiego.

„Ah! nie mówmy lepiej o tem, ekscelencjo, serce mi pęka“ — odpowiedział jenerał drugi.

„I tu jest bardzo pięknie, to nie ulega żadnej wątpliwości. Ale pomimo to, wiesz pan, jest nieprzyjemnie — owca bez owieczek. A i bez munduru nie miło.“

„Jak nie ma być niemiło? Szczególniej mundur czwartej klasy, sam haft zawraca już nie jednemu głowę.“

I zaczęli chłopa naglić ażeby ich koniecznie na *Podjaczeskaja* dostawił. Pokazało się, że chłop *Podjaczeskaja* znał i sam nawet był tam nieraz.

„My właśnie jesteśmy jenerałami z *Podjaczeskaja«* — rzekli wyniośle jenerałowie.

„A ja jestem oto kto: na zewnątrz domu w skrzynce zawieszonej na sznurach wisi człowiek i równa ściany, albo spaceruje jak mucha po dachu — ten człowiek to ja — odpowiedział chłop.

Tu zaczął chłop łamać sobie głowę jak on swoim jenerałom potrafi sprawić tę przyjemność jako podziękowanie, że byli na niego tak łaskawi i nie wzgardzili chłopską usługą próżniaka. i zbudował okręt — to jest nie okręt, ale tak, rodzaj naczynia, w którem można było przepłynąć ocean aż do *Podjaczeskaja.*

„A uważaj, kanaljo, ażebyś nas nie potopił“ rzekli jenerałowie widząc jak statek kołysze się na falach.

„Niech panowie jenerałowie będą spokojni, robota to dla mnie nie nowa“ — odpowiedział chłop — i zaczął przygotowywać się do podróży.

Nabrał ptasiego pierza i rozesłał na dnie łodzi, położył jenerałów na puchu przeżegnał się i odepchnął łódź od brzegu. Ile razy jenerałowie doświadczyli strachu wśród burz i orkanów, ile razy podczas drogi chłopa za lenistwo zwymyślali — tego opisać niepodobna. A chłop wiosłował, wiosłował i karmił jenerałów soloną rybą.

Nakoniec zobaczyli Newę, następnie piękny kanał Katarzyny, a nareszcie wielką *Podjaczeskaja.* Kucharki klaskały w dłonie, gdy ujrzały swoich jenerałów, tak rumianych, tłustych i wesołych. Jenerałowie napili się kawy z maślanemi bułkami, i ubrali się w mundury; potem poszli do kasy — a ile tam dostali pieniędzy — tego nie wypowiedzą żadne usta, tego żadne nie opisze pióro!

Zresztą nie zapomnieli także i o chłopie! — kazali mu wynieść kieliszek wódki i pięć kopiejek srebrem.

DRZEWO-TYGRYS.

OPOWIADANIE WĘDROWCA.

Z ostrym w dłoni toporem, strzelbą na ramieniu,
Szedłem puszczą odwieczną, dziewiczą, tajemną,
Gdzie drzemią smukłe palmy w tysiącletnim cieniu,
Gdzie wąż, zbudzony szmerem, ucieka przedemną
I płynąc gładką piersią przez trawy zielone,
Jeszcze oko iskrzące w moją zwraca stronę;
Zdumiony, trwożny, staje — i znów pełza z cicha:
Ciekawość go wstrzymuje, strach naprzód popycha.

Ileż cudów i czarów, ileż tajemnicy
I grozy w tej ponurej, zaklętej ciemnicy!
Tutaj «Mora wyniosła» strzela pod obłoki:
Giętkim sznurem na wieki pień z pniem wiążą liany?
Bagno styka się z bagnem, z potokiem potoki,
I w pomroce bieleje piasek — śnieg sawany.
Tu, jak łabędź, co wdzięcznie wysmukłą gnie szyję,
Dokoła pnia Igławy, Surmii pień się wije,
Tuli ramion tysiącem kochankę do łona,
Liść całuje się z liściem, z koroną korona.
Tu, kędy się blask słońca nigdy nie przeciska,
Wre cicha, straszna walka rośliny z rośliną;
Pada tytan stuwieczny, a z pobojowiska
Nowe tytany rosną — i walczą — i giną,
I wtedy wstrząsa puszczą huk gromu daleki:
Puszcza budzi się, słucha — i znów śpi przez wieki.

Przy mnie, ziemię i drzewa badając w milczeniu,
Toporem rąbiąc drogę przez splecione liany,
Kroczył stary indjanin, co w swem pokoleniu
Dla męztwa i dzielności Orłem był nazwany.
Od lat dwóch mój towarzysz, indjanin w pół dziki
Był mi wszystkiem: jak bracia żyliśmy najszczersi.
Bom poznał jego myśli i najgłębsze tajniki
I serce, które biło w tej miedzianej piersi.
On krzepił moje siły słowem i przykładem,
Strzegł przed niebezpieczeństwem, bronił przed napadem;
Ukochał mnie, jak syna, miłością namiętną,
I po trudach wędrówki roznieca ognisko,
I do snu mnie kołysał pieśnią cichą, smętną,
Jak matka, czuwająca nad dziecka kołyską.

Nagle, las rzednieć począł; znużone pomroką,
Pierwszy promień słoneczny olśnił moje oko.
Stanęliśmy na wzgórzu, co z olbrzymów łona
Wznosiło się ku niebu jak kępa zielona
Z ciemnej otchłani morza, ciche uśmiechnięte,
Umajone krzewami, trawą zarośnięte,
A nad niem, jako namiot, pogodne lazury,
A w koło, jak szmer fali, ptactwa dźwięczne chóry.

— Sokole, rzekł indjanin (nadał mi to miano,
Mówiąc: «gdy ojciec Orłem, to syn jest Sokołem.»
I po synu, którego niedyś tak nazwano,
Imię z miłością starca, w spuściznie objąłem.)
— Sokole, tu spoczniemy. W pobliżu zdrój tryska;
Pójdę zaczerpnąć wody; zeschłe drzew konary
Zrąbiemy potem wspólnie na nocne ogniska:
Płomień lepiej niż strzelba odstraszy jaguary.

Odszedł. Wkoło mnie, wszędzie, na dole i w górze
Zaległ spokój tak wielki, cisza taka głucha,
Że słyszałbym lot ptaków niknących w lazurze,
I cichszy odeń poszept puszcz tych króla-ducha;
Upadłem na murawę, strudzony pochodem,
Moje myśli wybiegły gdzieś w zaziemskie sfery,
Jąłem marzyć.
Wiatr lekki owiał mnie swym chłodem.
Ocknąłem się — i razem, blizkie jakieś szmery
Uderzyły w me ucho. Poznałem je snadnie:
Jestże gdzie jedna dusza smutna i tęskniąca,
Co ojczystej topoli szumu nie odgadnie.
Nie rozróżni wśród głosu innych drzew tysiąca?
Podniosłem łzawe oko. Tak, o tak, to ona!
Wiatr lekko jej gałązki chylił w moją stronę
I zdało się, że ku mnie wyciąga ramiona,
Że brzmią chórem powitań liście posrebrzone.
Że słyszę głos...
Lecz cóż to? straszne widowisko!
Topola opasana sploty wężowemi,
Jakby boa na drzewo wpełznął piersią ślizką
I rozwinął swe cielsko od szczytu do ziemi...
Nie... to całe ich gniazdo!... bo zwoje potworne
Plączą się i mięszają i biegną niesforne
Jak łańcuch sturamienny, jakby krata żywa,
Pętając pień wysmukły w tysiączne ogniwa...

I chór liści zapłakał cmentarnemi jęki:
Topola, jak Laokon, ściśnięta, zdławiona,
Szemrała w tych uściskach — i czułem że kona...
Drżący, wylękły, strzelbę chwyciłem do ręki,
Zmierzyłem...
Wtem — ktoś dotknął mojego ramienia.
Orzeł stał przy mnie. W dłoni trzymał liść palmowy
Zwinięty, pełen chłodnej wody ze strumienia.
— Anakonda! — szepnąłem, i skinieniem głowy
Skierowałem wzrok starca na srebrną topolę.
Indjanin spojrzał, westchnął. — Błądzisz, mój Sokole;
Przystąp bliżej, okiełznaj myśl zgorączkowaną,
A w wężu poznasz drzewo. — Jakież jego miano,
Rzekłem, jak nazwiesz, Orle, tę roślinną żmiję,
Co kręgi brunatnemi w koło pnia się wije
I tak łudzi me oko, że wciąż widzę jeszcze
Drgające dusiciela pierścienie złowieszcze?
— Tak, dusiciel! — rzekł starzec, i czarne źrenice
Padły na straszne drzewo, jak dwie błyskawice —
I, jako deszcz po gromie, dwie łzy gorzkie, krwawe,
Z twarzy zwiędłej spływając, padły na murawę.

— Sokole, — rzekł po chwili, — dzieje tych drzew obu,
To cały, od kolebki, żywot mój do grobu;
Poznasz go — a słuchając, niech twa myśl docieka,
Jak dziwne łączą węzły z przyrodą — człowieka:
Gdzie spojrzysz, treść jednaka, tylko kształt się zmienia;
Też same wszędzie trudy, nadzieje, ofiary,
Też same wszędzie zbrodnie — i też same kary.
Opowiem ci... lecz spieszmy, albowiem noc blizka.

Roznieciliśmy z suchych gałęzi ogniska
I bezpieczni, lecz czujni, legliśmy na ziemi;
A gdy strzeliła w górę łuna purpurowa,
Indjanin cichym głosem i usty drżącemi
Życia swego opowieść rozpoczął w te słowa.

Czy zgadłbyś że to wzgórze, tak ciche, spokojne,
Było kiedyś gwarliwych radości widownią?
I że potem z kolei poznało głód, wojnę
I pożogi, zbrodniczą podsycane głownią?
Że pod temi krzewami, pod trawą zieloną
Setki czaszek próchnieją i siedzib zwaliska?
Że jak okiem zasięgniesz, jak te ognie płoną,
Stąpasz wszędzie po krwawych śladach cmentarzyska?
Zgasł pożar i krew oschła na trawy kobiercu,
Tylko pamięć nie zgasła — i rozpacz wre w sercu.
Na tem wzgórzu, pomiędzy odwiecznemi lasy,
Świat ujrzałem. A wówczas było tutaj ludno:
Strojne wigwamy wodzów i proste szałasy
Składały całość dziką, lecz dla mnie przecudną,
Bo pełną ruchu, wrzawy i owej swobody
Co zawsze swym urokiem umysł nęci młody.
Ojciec mój był całego pokolenia głową:
Z rąk matki, gdym się zrodził, wziął mnie na swe ręce
I rzekł radośnie: «Synu, żyj i rośnij zdrowo!»
A potem, chcąc utulić kwilenie dziecięce,
Wyniósł mnie z chaty. Starcy, kapłani i wodze
Stali tam, zgromadzeni przed chatą, na drodze,
I zoczywszy nas obu, podnieśli okrzyki:
«Witaj nam, Orle stary! żyj nam, Orle młody!
Niechaj się z ciebie rodzą Orły-wojowniki!
Ty rządź po mężnym ojcu naszemi zagrody!»
Ojciec za cześć dziękował, i dłońmi własnemi
Zasadził na tem miejscu młodziutką topolę,
Mówiąc: «Jak drzewo czerpie życie z matki-ziemi,
Tak syn mój w woli waszej niech swą czerpie wolę;
A jak drzewo, gdy wzrośnie, matkę swą ocienia,
Niechaj on będzie tarczą swego pokolenia.»

Niestety! jako gwiazda co nagle zaświeci,
Olśni oko i smugą ognistą przeleci
I zgaśnie — tak zagasły owe przepowiednie!...

Poznałem je, gdym jeszcze chłopięciem był małem;
I odtąd o topoli śniłem w noc i we dnie,
Pieściłem jej gałązki, listki rachowałem,
I każdy nowy pączek witałem radośnie,
I obok rówieśnicy, z twarzą uśmiechniętą
Stawałem nieraz, szydząc, że tak wolno rośnie.

Pomnę, było to ósme mych narodzin święto.
Wczesnym rankiem pobiegłem do mojej topoli
I pytałem, w dziecięce tuląc ją ramiona,
Czy i nadal z mym losem życie swe zespoli?
Czy nie pogardzi ziemią, kiedy jej korona
Dumnie w niebo wystrzeli? Czy kochać mnie będzie
Jak siostra kocha brata, młodziana dziewica?
Czy pomni, że nas kiedyś, w poważnym obrzędzie
Złączyła symboliczna, wzniosła tajemnica?
Ach! spoglądasz z niewiarą, że takiemi słowy
Ja, dziecię siedmioletnie, mówiłem do drzewa;
Ale wpośród przyrody dzikiej i surowej
Ciało prędzej się krzepi, duch rychlej dojrzewa,
I mąż z waszego szczepu nie ma tej powagi,
Co w młodzieńczych swych latach indjanin w pół nagi.

Gdym tak pieścił topolę dłońmi namiętnemi,
Spostrzegłem na jej korze niteczki zielone:
Jedna, wzdłuż pnia się snując, biegła aż do ziemi;
Inne wiły się bokiem, w tę i ową stronę,
A tak silnie przywarły, że nawet żelazem
Oderwać ich nie mogłem, chyba z korą razem.
Zdziwiłem się — i ojca na pomoc przyzwałem.
Przyszedł, rzucił na płonkę okiem osłupiałem,
Jego twarz nagłej trwogi przybrała znamiona
I krzyknął «drzewo-tygrys!... stracona, stracona!»
Nie pojąłem od razu. On oczy zasłonił
Dłonią, jakby mym oczom w głąb ich spojrzeć bronił,
I smutno rzekł: «Los od nas odwraca oblicze;
Zginie przedwcześnie twoje drzewo rówiennicze,
Drzewo wróżby, co godłem władzy twej być miało,
I z którem duch mój złączył twoją przyszłość całą.
Ta nitka, to pasożyt straszny a nikczemny:
Gdy raz w drzewo zapuści pierwszy ząb tajemny,
Nim spostrzeżesz, odgadniesz, już sploty roztoczy,
I nieznacznie, podstępnie lecz wytrwale kroczy,
Coraz silniej dokoła ofiary się wije,
Z nią wzrasta, nią się tuczy, jej sokami żyje,
I kończąc jawnym bojem, co rozpoczął skrycie,
Wysysa swoją zdobycz — aż wyssie z niej życie.
Idź, przywołaj kapłanów: drzewo-tygrys wróży,
Że po latach pogody nadchodzą dnie burzy».

Odtąd, osada pozór wzięła na się nowy:
Ojciec wysyłał gońców w oddalone stepy,
Młodzież z potrzeby tylko ruszała na łowy,
Wojaey kuli groty, ostrzyli oszczepy,
Ścięte kłody tworzyły dokoła osłonę,
Przy niej czuwały nocą straże rozstawione.

Przyszła noc — noc okropna, pamiętna na wieki!...
Trzask drzew, świst strzał, szczęk broni, okrzyki rozpaczy
Zmięszane w gwar straszliwy jak fal ryk daleki,
Zbudziły mnie znienacka. Zgadłem co to znaczy:
Nademną stała matka, drżąca i strwożona,
Szepcząc: «Synu, uchodźmy!» Wzięła mnie w ramiona,
Wybiegła z ciemnej chaty — i nagle stanęła
Olśniona krwawym blaskiem; osada płonęła
Z jednego krańca w drugi, jak stos ofiarniczy;
Z pośród płomieni grzmiały wrzaski wrogiej dziczy;
Dwa hufce, w krwawej łunie strasznego ogniska
Starły się, jak walczące dwa czarne mrowiska.

Matka, niosąc mnie, biegła drożyną tajemną:
Wtem — zachwiała się, jękła... i padła wraz ze mną.
Zerwałem się — w jej szyi utkwił grot straszliwy,
Zabójczy, może z bratniej zbłąkany cięciwy!...
Po ramieniu się snuła wstęga krwi rumiana...
Zapłakałem... lecz matka wstała na kolana
I skargę ust mych tłumiąc bezsilną już dłonią,
W ostatnim pocałunku: «uciekaj!» szepnęła.
«Nie! zawołałem, razem ujdźmy przed pogonią,
Albo niech zaczętego śmierć dokona dzieła:
Zginiemy razem!» — Wtedy podniosła się z ziemi,
Objęła moją szyję rękami drżącemi
I tak oparta, chwiejna, krwią znacząc swe kroki,
Zeszła ze mną w dolinę, gdzie las się zaczyna.

Wzgórze tymczasem spokój zaległ już głęboki,
I kiedy nas daleka ukryła gęstwina,
Tam pożar bladł i niknął; z łona ciemnej nocy
Ostatnia iskra w górę strzeliła — i zgasła.

Tak zgasła nam ostatnia nadzieja pomocy:
Do rana, oczekując znajomego hasła,
Słuchałem, czy szmer jaki uszu mych doleci...
Tę kryjówkę znał każdy mieszkaniec osady:
Tu spoczywali starcy, tu igrały dzieci,
Tu, po łowach, stawiano myśliwym biesiady,
Tutaj, przy chórze niewiast, nieraz młódź wesoła
Lekką stopą w taneczne splatała się koła.
Tutaj więc, tęsknem uchem łowiąc głuchą ciszę,
Czekałem, czy zatętnią rychło kroki znane...
Może ojciec... mąż jaki... młodzi towarzysze...
Ach ktobądź — byle matce krwawą zawarł ranę...
Ale nikt, nikt nie przybył!... nikt się nie ocalił!...

A gdy poranek słońce na niebie zapalił,
Matka oczy otwarła, wyciągnęła ręce,
Jękła: «pomścij!» i życie z ust jej uleciało.

Przysiągłem — a Bóg słyszał przysięgi dziecięce.

Siadłem przy zwłokach matki. Łez mi już nie stało;
Bezładne myśli jęły czarnym korowodem

Krążyć w znękanej duszy. «Żyć? co mi po życiu!
Sieroctwo i niewola!... zamorzę się głodem...
Tutaj legnę — i w zimnych jej objęć powiciu
Skonam. — A moja zemsta? A moja przysięga?
Któż ją spełni, gdy umrę? — Nie!... wszak ja żyć muszę!»
I nagle, jakaś nowa, nieziemska potęga
Wzmocniła moje ciało, zolbrzymiła duszę;
Przez pół dnia, bez wytchnienia, zbierałem dokoła
Próchniejące gałęzie, chrust i zeschłe zioła,
I wzniosłem stos, jak wzgórek obszerny, wysoki,
A potem od południa aż do ciemnej nocy,
Na jego szczyt dźwigałem matki drogie zwłoki...
Rozpacz — nie — Bóg dziecięciu udzielił swej mocy.

Potem z cicha, ostrożnie, ale bez obawy,
Zacząłem jak wąż pełzać wśród wysokiej trawy,
Na wzgórze, kędy jeszcze tlały rumowiska
I paliły się nocne zwycięzców ogniska.
Cisza zaległa wzgórze od końca do końca;
Sen przerwał dzikich pieśni wrzaskliwe odgłosy...
Mogli spać; wszak ostatni osady obrońca
Oddał im, razem z życiem, swe skrwawione włosy!

Podsunąłem się blizko — i ze zgliszcz szałasu
Oburącz pochwyciwszy głownię rozżarzoną,
Pędem strzały pobiegłem napowrót do lasu.
I w chwilę potem, płomień ognistą koroną
Objął stos — przy tym blasku, sierota w rozpaczy
Szedł puszczą niezmierzoną na żywot tułaczy.

Przez dni kilka błądziłem, zagubiwszy ślady,
Które mię do przyjaznej wieść miały osady.
Żywiły mnie korzonki i leśne owoce;
Na drzewach przepędzałem długie, straszne noce;
Wreszcie znędzniały, blady, doszedłem do celu:
Za puszczą, gdzie się żyzna rozciąga równina,
Żył wódz bratniego szczepu; w ojca przyjacielu
Zyskałem opiekuna — a on we mnie syna.

Minęło lat dwadzieścia. Wodzem obwołany
Cieniom matki dług zemsty jąłem płacić święty,
I dziesięć lat zadając i odnosząc rany,
Z wrogami mego szczepu wiodłem bój zacięty.

Ale w walkach nierównych słabły nasze siły;
Bohaterstwo nie mogło liczbie stawić czoła,
Wyludniały się chaty a rosły mogiły,
Straciłem mego syna, mojego Sokoła...
Aż w końcu, napadnięty, zewsząd obsaczony,
Lud mój zginął w połowie, a szczątki plemienia
Zaniechawszy odwetu i próżnej obrony
Rozproszyły się między inne pokolenia.
Zostałem sam.
Rok cały błądziłem po puszczy,
Przez zwycięzców ścigany długo, jak zwierz dziki;
Nieraz, myląc pogonie najezdniczej tłuszczy,
Zblizka kroki słyszałem i gwarne okrzyki;
Nieraz kiedy nad puszczą zapadła noc głucha,
Kiedy trud zgnębił ciało a zwątpienie ducha,
Chciałem umrzeć od ciosu samobójczej broni;
Lecz duch zemsty żelazo wytrącał mi z dłoni
I krwawe widmo słowa szeptało złowieszcze;
«Pomnij o tych co zmarli; — ty musisz żyć jeszcze!»

Żyłem więc — i po roku plany me dojrzały:
Umyśliłem przyjść tutaj bez broni, w dzień biały,
Podpalić chaty wrogów — i skoczyć w płomienie.

Przyszedłem... głucha cisza. Pierwsze me spojrzenie
Zwróciłem na topolę; ach, jakże wyrosła!
Napozór tak potężna, tak świeża, zielona...
Któżby zgadł, że już zaród śmierci w sobie niosła,
Że już ją drzewo-tygrys ujęło w ramiona,
Że ściąga dłoń drapieżną do srebrnych warkoczy,
Pije krew ust tysiącem!....
Odwróciłem oczy.

Ach, wszystko tu tak piękne, jak było przed laty!
Nowe w koło szałasy, strojne wszędzie chaty,
Zniknęły ślady walki i strasznej pożogi...
Ha! i tu tylko pozór szczęścia!... Już w te progi
Śmierć weszła i rumakom swym puściła wodze...

Nieopodal zczerniały trup leżał na drodze;
Tam, pod topolą, drugi; przy strumieniu trzeci...
Pobiegłem do szałasów: o straszny widoku!
Wszędzie martwe już zwłoki niewiast, mężów, dzieci...
Jęk głuchy mnie doleciał... przyspieszyłem kroku:
Przed chatą wił się w bólach indjanin, wódz młody,
Szepcząc: «Przez litość, wody, jedną kroplę wody!»

Podałem. Wypił chciwie, i jak przebudzony
Zawołał nagle: «Orzeł!.. tak, poznaję ciebie!
Uchodź!... patrz, duch zniszczenia zbiera tu swe plony;
Jam ostatni... dłoń bratnia zwłok mych nie pogrzebie,
Sępy tylko... za chwilę śmierć dokończy dzieła...
Uciekaj! Klątwa niebios ciężko nas dotknęła.
Wicher południa z wiosną spalił młode trawy;
Wyschły źródła; zwierz z puszczy uszedł gdzieś w równiny...
Głód... w ślad za nim zaraza.... oto koniec krwawy
Klęski, której jam świadek ostatni... jedyny!
Orle, wrogu nasz dawny, połóż kres tej męce:
Rozpalone zarzewie widzę w twojej ręce....
Puść z dymem te siedziby; niech ogień pochłonie
To, co wzrosło łupieztwem; niechaj wiem przy zgonie
Że gdy zemsta to miejsce zamieni w pustynię,
Pamięć nas i krzywd naszych na wieki zaginie!»

— . Ja? krzyknąłem, ja miałbym, lichy proch, zuchwale
Kłaść moją dłoń na straszną Bożych sądów szalę?
Nigdy! niech się dopełni przeznaczenia brzemię!»

I gorejącą głownię cisnąwszy na ziemię,
Uciekłem. Śmiech złowrogi ścigał mnie przez chwilę,
A gdym stanął w dolinie i spojrzał na wzgórze,
Drobne iskry, jak gwiazdki, jak krwawe motyle
Jęły błyskać, wzlatywać i niknąć w lazurze;
A potem buchnął płomień — i wstęgą szeroką
Snuł się dokoła wzgórza spokojnie, powoli,
A nad ogniem i dymem sterczały wysoko,
Trzęsąc liściem srebrzystym, gałęzie topoli.

Umilkł Orzeł, zgnębiony ciężarem boleści.
Jam wyglądał ciekawie końca opowieści;
Rzekłem więc: — W zbrodni samej tkwi zaród zniszczenia;
Jest to skorpion, co ginie od własnego jadu.
Tak zginął wróg ostatni twojego plemienia:
Z jego zwycięztw i trupów nie zostało śladu.
Lecz, jeśli — jak mówiłeś — w człeku i w roślinie
Też same rządzą prawa, zadam ci pytanie:
Jak zemści się topola, gdy uschnie i zginie.
I co z drzewem-tygrysem naówczas się stanie?

Indjanin wstał i dłonie wyciągnął przed siebie,
Jakby gwiazdy przyzywał na świadki swej mowy,
I rzekł: «Wszędzie jest kara, bo jest Bóg na niebie!
Gdy tygrys na topoli ściśnie splot wężowy
I życie w niej zadławi, ze zgonem ofiary
Rozpocznie się dla niego straszliwy czas kary.
Uschnie pień, co go karmił i w próchno się zmieni;
Padną martwe gałęzie, odarte z zieleni,
Wiatr ich szczątki rozwieje, i na tym całunie,
Pozbawione podpory, drzewo-tygrys runie;
Żyć własnem życiem, własną stać siłą niezdolne,
Pozna głodu męczarnie straszliwe, powolne,
I na trupie topoli, jak dusza spodlona,
Własną trawiąc się zbrodnią, drzewo-tygrys skona».

Włodzimierz Łada.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

II.

Wół roboczy Matka.

Gdybym obrazki moje pisał dla Niemców, którzy nietylko nami, ale i żonami swojemi orzą, (dalibóg widziałem Niemkę zaprzężoną razem z krową do pługa) nic by mię powyższy napis nie żenował. Ale że u nas cywilizacja jeszcze nie doszła do takiej perfekcji jak w krainie miliardów, dlatego przepraszam wszystkie czytelniczki, iż zagalopowawszy się raz w tytule, nie mogę już rejterować. Bo proszę was, jak tu pisząc o wołach roboczych ludzkich pominąć poczciwe i zacne matki nasze, które w imię źle zrozumianej miłości dla dzieci daleko ciężej i cierpliwiej pracują niż prawdziwe woły z rogami.

Pan Honorat, rezydent Hryczkowskiego dworu, jako jeneralny kręciciel zegarów, powiada, że podług kompasu była dziesiąta, ja utrzymuję, że było więcej — ale dajmy na to, niech będzie dziesiąta. Otóż sami państwo powiedzcie, czy to się godzi, czy to jest pięknie, aby takie dwie zdrowe i tęgie pannice jak Dziudzia i Ciucia leżały jeszcze w łóżkach! Tu Olena pilnująca kawy przy kominku w kredensie o mało się nie skręci, bo ma wycierać mokrą ścierką podłogę w kancelarji pana, tu stary Fedko chciałby posprzątać w jadalnej sali i pójść do ogrodu, gdzie najemnice pielą ogórki, tu pokojówka ma się wziąć do prasowania spodnic, bo panienki jadą dziś na imieniny do Stepkowa, a tu panie nikt się nie może ruszyć, gdyż pani woła: cicho, cicho, nie stukajcie, panienki się obudzą... Poczciwa matka, widząc, że zabawa w Stepkowie może się przeciągnąć do rana, chciałaby, aby córki wyspały się już anticipando. —

Zapewne i wy czytelnicy, podobnie jak ja, zaciekawieni jesteście, jakie też to święte pańskie ukrywają się pod tym pseudonimem Dziudzi i Ciuci. Daję wam słowo, przewertowałem już kalendarze wszystkich trzech obrządków od deski do deski i nigdzie podobnych imion nie znalazłem; dlatego sądzę, że przyłączycie się do mojej petycji, jaką niniejszem stosuję do pana Klemensa i Domicelli z Cienkiewiczów Pyszczyńskich właścicieli Hryczkówki i tych dwóch nimf spoczywających w łóżku, aby nam tę kalendarzową zagadkę wyjaśnić raczyli.

— Hm — przychodzi mi do głowy, czyby nie wypadało dla porządnego zawstydzenia Dziudzi i Ciuci, tak raptem otworzyć okiennice, otworzyć drzwi, i wprowadzić wszystkich czytelników hurmem do ich sypialni. Daję słowo honoru, mógłbym, ciekawym, co nam powieściopisarzom nie wolno? Ale zważywszy, że wielu z nas, a szczególniej przyjaciół moich gimnazistów, mogła by pani Domicella, kazać bez ceremonji Fedkowi za drzwi powyrzucać, o czem będąc w ich wieku nieraz miałem się sposobność przekonać, więc dam temu po-

kój, poprzestając na zapewnieniu, że ze względu na panujący tam porządek, niewiadomo ktoby się więcej z nas zażenował, ja, czy panny Pyszczyńskie, czy wy szanowni czytelnicy!

W sąsiednim pokoju jadalnym w tej właśnie chwili odbywa się fabryka sukien dla panienek na dzisiejszą zabawę. Pani Domicella, osoba już w wieku, ze spuszczonym nosem na kwintę, w okularach na tym nosie, siedzi biedactwo przy okrągłym stole i ścieboli igłą, nadsłuchując, czy panny się nie przebudzą. Pszenica tego roku przepadła, Klemens się kurczy jak idzie o pieniądze, sama więc własną ręką uszyła obie sukienki dla Dziudzi i Ciuci, żeby przecie wyglądały po ludzku. — Właśnie w tej chwili zajęta jest myślą, czyby nie odpruć koronki od własnej sukni i niemi ubranie córek wygarnirować, ale na nieszczęście koronek jest tak mało, że dla dwóch nie wystarczy, a Ciucia miałaby żal, że mama tylko o Dziudzi pamięta... Medytuje tedy, suknię swoją z szafy wyjmuje, przymierza, kombinuje, gdy wtem z miną lwa rozjuszonego wpada czerwony jak koral pan Klemens i krzyczy: wody!

Portret pana Klemensa Pyszczyńskiego bardzo łatwy do naszkicowania. Niech każdy z czytelników narysuje sobie kółko, w tem kółku da dwie kropki u góry jako oczy, pod spodem jedną kropkę jako usta, a obok tej kropki po obu stronach dwa sztrychy rozchodzące się na prawo i na lewo jako wąsy, a fizionomja szanownego dziedzica gotowa. —

Proszę się nie lękać, że pan Klemens zawołał tak nagle wody, nigdzie się dzięki Bogu nie pali, to tylko ręka nagle mu spuchła.

— A bodajże go najjaśniejsze pioruny! — krzyczy, odrzucając chustkę okalającą rękę i zanurzając ją w miednicy, którą usłużny Fed'ko wnosi tuż za nim.

— Coż to się stało, Klimusiu? — pyta niespokojnie żona, oglądając się na panieński pokój, czy córki się od tego hałasu nie przebudzą.

— To huncwot twardą ma mordę, ha!

— Kto taki?

— A któżby, jak nie ten Wańko, to moje utrapienie! Powiedziałem bestji, nie każ mi kuć kasztanki, bo ma podbitą strzałkę... Nie, taki nie posłuchał i powiódł do kowala... Zagwoździli kobyłę i rzecz skończona! Jedź-że tu teraz do Stepkowic czem chcesz!

— Serce ty, moje Klimciu — mówi przeciągając jak wszystkie podolanki pani Domicela, a rękę polewając wciąż zimną wodą — czyż to warto, żebyś się tak irytował. Tak zawsze chwaliłeś Wańka, a pewnieś go wybił, serce ty moje. Obiecałeś mi tyle razy, że się będziesz hamował...

— Et hamuj się ryheńko, hamuj gdy ci taka morda na złość zrobi... kropnąłem raz, bo mię już pasja wzięła...

— Ale też spuchła ręka jak pierzyna — dodaje sensacyjnie Fedko trzymając miednicę.

— A to kanalja ma taką chudą gębę jak chart...

— Ale gdzie tam jaśnie panie — dogaduje śmiejąc się filuternie lokaj z dawien dawna nieprzyjaciel stangreta. — Ta, to on potrafi tak wciągnąć gębę w siebie...

— Ot masz rację... prawda, prawda wciągnęła bestja... Poczekajże ty jakiś, na drugi raz wezmę ja się inaczej do ciebie... Oj miłosierdzie Boże zaczyna rwać!

— Pęcherze będą, jak ciebie kocham serce ty moje... Potrzębne ci to było... Fedko daj no tam sól z farfurką, stoi na kredensie.

— Dam ja ci dam, za owo wciąganie — biaduje pan Klemens — Fedko, idź mi za nim niech on tu zaraz przyjdzie!

— Serce Klemciu, cóż znowu, jak mię kochasz...

— Nie bój się, bić go nie będę, bo czem?... Ale trzeba mu dać skórkę ze słoniny, żeby kowal podłożył pod podkowę... Ajaj, jaj... to boli...

Za chwilę wszedł wysoki smagły o ciemnej cerze ów Wańko. Pan Klemens, tylko błysnął zagniewanym okiem na niego, lecz o dziwy, natychmiast spuścił te oczy na dół, zobaczywszy, że lewy policzek Wańka tak samo się wydał i zaczerwienił jak jego ręka...

— No weź skórkę, ty hultaju jakiś i marsz mi zaraz do kowala!

— Nie trzeba żadnej słoniny — pomrukuje Wańko z zagniewaną miną... kobyła nie kuleje...

— Co mi ty będziesz rezonował...

— Kiedy nie kuleje...

— Tołkuj! myślisz, że ja uwierzę!...

— Niech jaśnie pan spojrzy przez okno — Petryk ją przeprowadza po dziedzińcu.

Szlachcic obrócił głowę — rzeczywiście kasztanka idzie dobrze, więc jakoś nieprzyjemnie mu się zrobiło choć jeszcze nie myśli ustąpić.

— A cóż jej było hę, nie kulała co? Nie bój się, tylko wyjedziemy za bramę, ona znów zacznie.

— Palnęła się w kopyto o próg i tyle... a jaśnie pan zaraz aby tylko człowieka krzywdzić...

— No, no, cóż ci się tam stało... Domisiu serce, każ mu dać kieliszek araku... Pojmujesz, zawsze twoja wina; ile razy ja gadałem czemu nie podsypiesz progu?

— Jaśnie panie, ja dziękuję za arak... — rzecze Wańko nie biorąc kieliszka, który mu Olena podaje...

— Hm, hm — zaczyna mruczeć pan Klemens, owijając rękę zmaczanym w occie ręcznikiem. — Hm, dureń jaki hardy... i spogląda ukradkiem na stangreta, który wciąż zagniewany jak wyrzut sumienia stoi przy progu.

— A jakie to hultaju buty masz podarte! — mówi, pokazując na rozchodzące się jak żaba rozdeptana obuwie Wańki.

— A z czegoż to jaśnie panie mam kupić nowe, z tych marnych sześciu rubli na kwartał?... przy koniach to gnój gryzie buty jaśnie panie...

— Hm, gryzie powiadasz... gryzie...— powtarza nie wiedząc jakby tu udobruchać stangreta, i zakręciwszy się nagle, idzie do swojej kancelarji.

— Masz, weź to! — rzecze, wynosząc parę, jeszcze bardzo porządnych myśliwskich butów.

Lecz Wańko jeszcze i teraz nie spieszy się z przyjęciem prezentu, tylko jakoś kręci się i krząka.

— No cóż chcesz, do miljon djabłów, żebym ja cię przepraszał, co?

— Bo jaśnie pan...

— Co jaśnie pan, co jaśnie pan... Moja ręka więcej spuchła od twojej gęby, bierz, araku się napij, i pamiętaj, żeby mi powóz był w porządku... a ogierkowi daj drążek...

— Wańko udobruchał się nareszcie, arak wypił, buty wziął a wychodząc ukłonił się panu, już z weselszemi oczyma...

— A widzisz, że nie wciągał gęby — odzywa się do Fedki po wyjściu stangreta — spuchła mu jak trąba...

— Taże to prawda, co spuchła... Oj, oj, tak jemu spuchła jak i mnie — mówi znowu z tym samym filuternym uśmiechem, wachlując ręką koło ucha nasz Fedko.

— Nie bresz, cóż to nie widziałem?...

— Jaśnie panie — wsadził kawałek kaczana do gęby i już... Ja ich znam... oj znam...

— To może i ja sobie w rękę co wsadziłem...

— Et to inna rzecz, pańska ręka delikatna jest jako aksamit, a chłopska gęba nie tak to łatwa do spuchnięcia... Ani chybi coś włożył...

Tymczasem głośna rozmowa papy z Wańką rozbudziła panienki w sąsiednim pokoju, a mama już tam jest przy nich i całuje obiedwie w czoła, i spracowaną ręką odsuwa jasne blond włosy, Dziudzi wychodzące jej z pod nocnego czepka na czoło...

— Fe, fe, niech mama da mi pokój ze swoją ręką... tak ją czemś czuć...

— Octem moja duszko, octem, przykładałam ojcu na rękę.

— A słyszałam, papko pogniewał się z Wańką... że też papko nie może się odzwyczaić od tego bicia... Jeszcze taki prosty człowiek kiedy zabije z zemsty, albo nas gdzie wywróci...

— Przeprosili się...

— Co mama chłopu wierzy... On weźmie, a swoje zrobi... Mój Boże, jak my też pojedziemy dzisiaj, aż skóra na mnie cierpnie...

— Mameczko! — woła z drugiego łóżka Ciucia — jabym się napiła kawy... takie miałam sny przykre...

— Tylko wstań, duszo ty moja, kawa jest gorąca...

— Ach! kiedy mi się tak nie chce, mamusiu — mówi ziewając Ciucia — ja tobym tylko spała i spała.

— Każę ci przynieść do łóżka. A może i tobie, Dziudziu; poleżcie sobie, kiedy chcecie...

Lecz Dziudzia już jest zadąsana, że matka wprzód proponowała Ciuci kawę a nie jej.

— Dobrze, niech przyniosą, tylko ja sobie sama naleję... mama to zawsze tyle nakładzie mi cukru, że pić nie można.

Olenka przynosi na tacy kawę, przy-

stawia krzesła do łóżek i panny zaczynają spożywać dary Boże.

— Fe, mameczko, czuć łojem! — odzywa się Dziudzia, rzucając łyżeczkę na tacę.

— Zkądżeby łojem — mówi matka, podnosząc do nosa ową łyżeczkę — ja nie czuję.

— Ale ja czuję, i skoro mówię, że czuć, to czuć.

Matka biegnie do kredensu, przynosi inną łyżeczkę i sumituje się, że w całym domu nie ma łoju.

Krzywiąc się i grymasząc, panny wypiły ową kawę, zjadły coś połowę dużej rumianej bułki, która, jak się pokazało, była nieco od spodu przypaloną.

— Teraz już wstawajcie, dzieci moje — rzecze matka, obcierając ręce, które dopiero co umyła po occie — chciałabym, żebyście jeszcze raz przymierzyły suknie.

— Ja tam już z góry wiem, że stanik będzie źle leżał — odzywa się Dziudzia.

— Dlaczego źle? zobaczysz, tylko wstań, wstań, bo jeszcze wiele jest do skończenia.

— Gdzietam może być suknia dobrze zrobiona w domu; ani fason, ani garnirowanie...

— Wykroiłam z ostatniego Bluszczu...

— Tak się mamie zdaje, ale to nie to, co w magazynie...

— Wie mama, ja się namyśliłam — wtrąca się na to Ciucia, cmokając ustami, jak osoba, kiedy czuje coś obcego w zębach — i nie chcę przypinanego ogona.

— Ciuciuczko, moja ty duszko, już tak skrojone... Daleko praktyczniejszy jest przypinany, suknia może służyć i do tańca i do zwyczajnego ubrania...

— Dziękuję uniżenie! Ja przeczuwałam, że mama się niepotrzebnie pospieszy... kto mamę prosił...

— Śpicie tak długo, a tu już godzina dwunasta; kiedyż by się uszyło! Chodakowska wstała o piątej... ja szyłam do późna w nocy.

— Toż to zawsze tak bywa z tą mamy oszczędnością... W domu, nic tylko w domu robić — a to trudno, moja mamo, jak kto nie umie. Nie dość, że materjał lichy, jeszcze jak suknia źle leży, to okropność...

— Moja duszyczko, pszenica przepadła, ojciec się kurczy, gotówki nie ma...

— Bo ciekawa jestem, dlaczego papa nie założy Hryczkówki w banku; wszyscy zakładają — odzywa się Dziudzia... — Zawsze nie ma, papa się kurczy, jak idzie o nas, a jak przegrać w karty pięćdziesiąt rubli — to można.

Darują kochani czytelnicy, że w tem miejscu okażę mniej cierpliwości, niż pani Domicella, która sumituje się, jak może przed córkami, dlaczego nie można Hryczkówki założyć w banku, dlaczego papa, będąc w towarzystwie, nie może się od gry wyłączać, i że choć raz przegra, to znów innym razem wygra. — Oj, moje panienki, żebym miał tak długą rózeczkę, któraby dostała ze Lwowa do Hryczkowiec, tobym sobie dalibóg pozwolił... oj nie żałowałbym ręki.

Nareszcie uprosiła mama panienki, że zdecydowały się na ubieranie.

— Olenka — krzyczy pani do kredensu — pójdźno tutaj, panienki wstają.

Przychodzi Olenka, dźwigając miednicę z wodą, mydła, szczoteczki i ręczniki.

— Pewnie twarda?

— Miękka, proszę paniusi, deszczowa...

— Pokaż!... Aj, jaka zimna, idź przylej ciepłej — mówi Dziudzia, umaczawszy koniuszki palców w miednicy.

— Ja chcę serwatki — dodała Ciucia — a jak nie ma serwatki, to mleka kwaśnego; od wody dostaję pryszczów na nosie.

Olenka tedy zawraca z całym aparatem, a za nią mama, żeby wydać mleko ze spiżarni.

— Kładź mi pończochy — mówi Dziudzia, wystawiając dosyć zgrabną nóżkę z pod kołdry.

— Wprzód mleko mi podaj!

Pokojówka wróciwszy, nie wie co z sobą zrobić.

— Aj Dziudziu, Dziudziu — odzywa się matka — mogłabyś sama... Czy się nie wstydzisz? Ja stara jestem kobieta, a ubieram się sama...

— Ho, ho, ja tak nie mogę; dziś jeszcze muszę się drugi raz przebierać na wieczór, a to już nad moje siły... Jak mamę kocham, jestem tak zmęczona...

Olenka tedy morduje się nad nóżkami panny Dziudzi, obciera twarz Ciuci po umyciu, która także snem jest zmęczona. Panienki dąsają się ciągle, to że ma ręce zimne, to że mydło się nie pieni, ręcznik drapie, a grzebień kaleczy skórę na głowie — czem zniecierpliwiona mama odsuwa Olenę i bierze się sama do czesania córek.

(D. n.)

KORESPONDENCJE.

Paryż d. 20 kwietnia 1880.

Życie nasze emigracyjne płynie teraz bardzo, zbyt nawet spokojnie. Jedyne chmury pokazujące się na naszym horyzoncie, sprowadzają nieubłagane wyroki śmierci, a jedyne dowody naszego bytu składamy w obchodach pamiątek narodowych, w zabawach i zebraniach prywatnych, albo też w sprawozdaniach niektórych instytucji, pozostałych z lepszej przeszłości. O tych ujemnych i dodatnich stronach naszej tułaczej doli pomówić dzisiaj zamierzam, w przekonaniu, że wszystko, co od braci daleko od kraju żyjącej pochodzi, czytelników „Tygodnia polskiego“ zawsze interesuje.

Ciężką zimę, którąśmy nareszcie przebyli, opłaciliśmy bolesnemi stratami. Najprzód pożegnał nas na wieczne czasy, niespodziewanie, Jenerał Malecki, żołnierz w całem znaczeniu tego wyrazu, waleczny i szlachetny, większą część swojego życia przepędził w szeregach wojsk moskiewskich, a kiedy je opuścił, uczuł się od razu swobodnym i złożył wiele dowodów, że w nim krew polska płynąć nie przestała. Po nim z kolei straciliśmy Bronisława Zaleskiego, sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu. Była to zacna dusza, dla której Bóg i Ojczyzna, modlitwa, prace naukowe i cierpienia były pociechą w troskach wygnańczego żywota.

Następnie śmierć zabrała nam Tomasza Malinowskiego, starca 76letniego, którego nazwisko przypomina najświetniejszą kartę emigracji z 1831 roku. Malinowski Tomasz był jednym z najdzielniejszych szermierzy Towarzystwa demokratycznego polskiego. Bystry rozum, wykształcenie niepospolite, a obok tego charakter prawy, postawiły go od razu nastanowisku nauczyciela i przewodnika ówczesnej młodzieży, która uczuła pierwsza, że upadek tak wielkiego, tak świetnego ruchu patrjotycznego, jakiem było powstanie 1831 roku, musiał mieć głębsze przyczyny, jak błędy nieudolnych strategów i polityków, albo nawet przemoc nieprzyjaciół. Z tego założenia wyrosła cała nauka zsolidaryzowania sił narodowych i użycia ich w sprawie wyzwolenia, cały program demokracji czysto polskiej z podań dziejówych i z doświadczenia wysnuty. Malinowski Tomasz miał przeważny udział w pracach tego stowarzyszenia, a nadewszystko jemu się należy w znacznej części zasługa w wyrobieniu głębokiej wiary, surowości obyczajów i bezprzykładnej prawie w korporacjach jawnych karności i wyrzeczenia się własnego *ja*, które towarzystwo demokratyczne odznaczały. Ale Malinowski Tomasz nie miał dosyć siły, ażeby wytrwać do końca, nie miał odwagi, aby przyjąć ciężar odpowiedzialności za nieuniknione następstwa własnej nauki i własnych czynów. Cofnął się, kiedy w r. 1846 stanowcza próba dla niego i dla jego współpracowników nadeszła. Kapitan okrętu opuścił swych majtków w chwili niebezpieczeństwa. Dla tego też usunięty od życia publicznego, opuszczony i zapomniany, już od tego czasu nie miał żadnej styczności nietylko z towarzystwem demokratycznem, ale i z resztą Emigracji. Żył w zaciszu, w pracy i ubóstwie, wspierany tylko przez tych, którzy pomijając, błędy nie zapomnieli o jego zasługach.

W końcu, bo oto 2. Marca przeniósł się do wieczności Wojciech Sowiński, przeżywszy przeszło 80lat, a z tych około 60 za granicą, we Francji, gdzie znalazł sławę i serdecznych do zgonu przyjaciół. Teraźniejsze pokolenia mało znają Sowińskiego, fortepianisty, jego najnowsze utwory muzykalne nie mają rozgłosu ani w Polsce, ani we Francji, ale kiedy się cofniemy o lat czterdzieści kilka, wtenczas zobaczymy go obok Szopena, Liszta i Thalberga, przewodniczących wsztuce, czarujących cały świat muzykalny. Jak Szopen, chociaż nie na takiej wysokości, Sowiński był przedewszystkiem muzykiem narodowym; jemu zawdzięczamy kilka melodji do pieśni patrjotycznych z 1831 roku, przez długie lata w marszach jego utworu, grywanych w wojsku francuskiem, słyszano nutę polską, w jego hymnach kościelnych także natchnienie polskiej pobożności góruje, on pierwszy wydał w języku francuskim słownik muzyków polskich, później na język ojczysty tłumaczony. Sowiński był gorącym i niezmiennym patrjotą, odznaczał się zawsze wzorową przyzwoitością życia prywatnego, co mu powszechny szacunek zjednało i nadzwyczajną pracowitością, której dowody składał codziennie, do samego prawie zgonu. Sto kilkadziesiąt utworów muzykalnych, kilka dzieł fachowych po francusku i po polsku napisanych, stanowić będą bardzo ważny materjał dla artystów i amatorów. Koncerta jego, corocznie bez przerwy dawane, ściągały zawsze liczną publiczność. Rok temu zadziwiał jeszcze biegłością i delikatnością gry, przeszłego lata odbywał nawet zwyczajną swoją przejażdżkę po domach zamożnych, które go

*

zawsze z otwartemi rękami przyjmowały jako przyjaciela i jako artystę uprzyjemniającego wiejskie zacisza; na miesiąc przed śmiercią słuchano go jeszcze z podziwem, że mimo tak późnego wieku, mimo złamanej lewej ręki przed dwoma laty, potrafi jeszcze zachwycać swą grą. Ostatniem jego dziełem jest Msza śpiewana, którą ułożył na cztery głosy z poleceniem, ażeby na jego grobie wykonaną została. Nieprzewidywane przeszkody nie dozwoliły spełnić jego woli w tym względzie, stanie się jej wszakże zadosyć nieco później. Ś. p. Wojciech Sowiński dawał lekcje fortepianu już wnuczkom swoich uczennic — liczył ich przeszło 800, z których 300 żyjących należały do grona jego przyjacielskich i towarzyskich stosunków. Zostawił pamiętnik starannie napisany, ma on zawierać wiele ciekawych, a nawet pouczających zdarzeń i spostrzeżeń, nie tylko z pola muzyki, ale i ze stosunków jego z wielkim światem. Przejrzenie i uporządkowanie tego pamiętnika przyjęła na siebie osoba wysokie miejsce w literaturze polskiej zajmująca, co mu zapewni podwójną wartość. Sowiński, pochowany jest w Nekropolji polskiej w Montmorency, obok swego serdecznego przyjaciela, Antoniego Oleszczyńskiego. Skromne mienie, jakiego się dorobił długą pracą, przeznaczył w części na rzecz instytucji emigracyjnych, w części na rzecz swoich siostrzeńców, między którymi z przyjemnością widzimy znanego poetę Leonarda Sowińskiego. Cześć jego pamięci. —

Instytucje emigracyjne zwracają teraz na siebie uwagę tych wszystkich, którzy dbają o los rzeczy, przynoszących zaszczyt przezorności patrjotycznej a pożytek rodakom naszym na wychodźtwie. Jaki jest stan teraźniejszy, czy mają oostateczne warunki bytu, i co się z niemi stanie za lat kilka lub kilkanaście, kiedy starsze pokolenie wychodźtwa zejdzie zupełnie z pola, a młodsze nie dostarczy właściwych do ich utrzymania żywiołów, są to kwestje, które już dzisiaj zajmują poważne umysły. Gdyby nie było innych względów, jak ten, że w owych instytucjach zaangażowany jest kapitał przeszło dwóch milionów franków, nie mówiąc o nominalnej wartości zbiorów książkowych i archeologicznych, to i wtenczas należałoby się zająć na serjo ich przyszłością. Szkoła polska na Batignolles i Stowarzyszenie byłych jej uczniów, Towarzystwo naukowej pomocy, Stowarzyszenie podatkowe czci i chleba. Domy przytułku dla starców Ś. Kazimierza wraz ze szkołą dziewcząt, Szkoła panien w Hotelu Lambert, Biblioteka Tow. historyczno-literackiego i towarzystwo dobroczynne Dam Polskich, wszystkie te instytucje posiadają znaczne zasoby, ale nie wystarczające do zapewnienia im bytu, organizacje ich nie przedstawiają dostatecznej rękojmi na przyszłość, bo nie są oparte, ani na osobistym interesie, ani na rzeczywistej sile stowarzyszenia, niektórym brak także publicznej kontroli, która jest niezbędną do wzbudzenia zupełnego zaufania. Pomiędzy temi instytucjami dwie tylko: Stowarzyszenie podatkowe Czci i chleba i towarzystwo byłych uczniów szkoły polskiej na Batignolles, odznaczają się uznaniem potrzeby występowania perjodycznego ze sprawozdaniami, które dają dokładne pojęcie o ich działalności i rozwoju.

Towarzystwo podatkowe liczy już 20 lat istnienia; jest to jedyny łącznik emigracji polskiej, widzimy tam wszystkie składowe części naszego społeczeństwa, księcia obok wyrobnika, wszystkie różnice polityczne i religijne, ożywione jednem uczuciem obowiązku narodowego, a tym jest wyręczanie narodu, o ile możność pozwala, w uznaniu zasługi i zacności. Nie jest to żadne towarzystwo dobroczynności, nie daje ani jałmużny, ani wsparcia, udziela tylko emerytury starym sługom Ojczyzny, uznaje ich prawo do opieki narodowej. Kontrola ogólna wykazuje, że Stowarzyszenie Czci i chleba miało już w swojem gronie 1811 członków, z których żyjący w liczbie 394, złożyli w zeszłym roku 4,479 fr. 70 c. rocznego podatku. Walory własnością towarzystwa będące, przyniosły 8,470 fr. 24c., co razem czyni przeszło rocznego dochodu 12,949 fr. 94c. Z tych wydano: Na emerytury (120fr. rocznie żołnierzom i podoficerom a 200fr. oficerom) 8,640 na krzyże Virtuti militari (20fr. za krzyż srebrny lub złoty) 400fr., razem wydano 9040, reszta poszła na wzmocnienie funduszu żelaznego, który wynosił w końcu 1879 roku 220,814 fr.

Oprócz stałych pensji emerytalnych, które są głównem jego zadaniem, Stowarzyszenie podatkowe udziela jeszcze czasowe zapomogi rodakom zasłużonym a biednym, z tak nazwanych ofiar czyli darów do regularnego podatku nie wchodzących. Fundusze tej kategorji są bardzo niestałe, były lata, w których nie wynosiły więcej jak 300 fr., były znowu inne, które przynosiły kilka tysięcy. Do tych ostatnich liczy się r. 1879, wykazujący przychodu z ofiar 6,533 fr. 20c., ale zauważyć trzeba, że na tak wysoką sumę złożyły się głównie następujące wpływy: 1. pozostałość z 1878 roku w ilości 1,382 fr. 20 c.; 2. wpływ ze źródła publicznie nieznanego, za pośrednictwem księcia Władysława Czartoryskiego w ilości 3,500 fr.; 3. i jednorazowy dar ś. p. Ksawerego Branickiego*) w sumie 1,000 fr. i resztę dopełniły drobne wpływy z kraju i emigracji, powtarzające się mniej więcej corocznie. Rozchód, obejmujący jednorazowe zapomogi rodakom mieszkającym w Paryżu i w głównych miastach Francji jako też w Anglji, wynosił 5,486 fr. 70c.

Myśl szlachetna, poparcie silne ze strony rodaków, zarząd złożony z zacnych obywateli pod prezydencją czcigodnego patrjarchy poetów naszych, Bohdana Zaleskiego, oto są wielkie zalety Towarzystwa podatkowego. Możemy więc być spokojni o jego przyszłość i mieć niepłonną nadzieję, że patrjotyczna a wytrwała troska o jego pomyślność, nietylko zabezpieczy go od wszelkich złych przygód, ale uczuje niedługo potrzebę podniesienia znacznie stopy udzielanych emerytur.

Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej na Batignolles którego ostatnie sprawozdanie mam przed sobą, liczy już blisko 20 lat istnienia, przeżyło już wszystkie koleje niemowlęctwa i lat dziecinnych, doszło do poważnej i silnej organizacji, a więc można już o niem mówić jako o instytucji mającej przyszłość przed sobą. Utworzone na wzór podobnych towarzystw francuskich, w celu wzajemnej pomocy i utrzymania koleżeńskich stosunków, ma ono jeszcze nie równie wznioślejsze zadanie: krzewić i rozwijać między sobą uczucie narodowe polskie, ażeby być w możności pracowania dalej nad dziełem, któremu się ich ojcowie poświęcali. Tak pojęte zadanie Towarzystwa musiało być z natury swojej bardzo ponętnem dla serc młodych, wyprowadza je bowiem z nienormalnego położenia i wskazuje im szerokie pole do pracy i poświęcenia. Nie dziw też wcale że Towarzystwo liczy obecnie 267 członków porozrzucanych po wszystkich krajach, główne zaś ognisko mających w Paryżu. Strona jego finansowa nie przedstawia nic nadzwyczajnego, fundusz żelazny wynosi zaledwo 4808 fr. 10 ct. a obrót dochodu i rozchodu rocznego nie przechodzi 1200 fr. ale bo też kapitalizowanie i zapomogi pieniężne są rzeczą podrzędną w towarzystwie; głównym jego pokarmem jest strona moralna, są myśli i obowiązki względem ojczyzny, rozwijane w zgromadzeniach ogólnych, są uczty braterskie na których wzmacnia się koleżeństwo i przyjaźń, są zebrania publiczne z odczytami o przedmiotach narodowych, są wreszcie schadzki tygodniowe dla zasilenia się wiadomościami z kraju. Do każdego sprawozdania dołączony jest „Biuletyn stowarzyszenia“ po francusku redagowany, zawierający wiadomości o szkole polskiej, o ruchu literackim i naukowym w całej Polsce i wiele innych bardzo ciekawych szczegółów. Pismo to mające już dzisiaj niezaprzeczoną wartość, przyjdzie powoli, za staraniem głównych członków towarzystwa, do znaczenia poważnego organu polskiego za granicą, cel ten jednak, bardzo pożądany, byłby osiągniętym wcześniej, gdyby patrjoci w kraju udzielili towarzystwu zachętę i pomoc. Młodzież składająca je mało mówi ale gorąco czuje po polsku — może oddać sprawie narodowej ważne przysługi, bo ożywiona jest najlepszemi chęciami i posiada do tego potrzebną zdolność — trzeba jej tylko podać bratnią dłoń. Adres Towarzystwa jest: M. Jasiewicz 15 rue Lamandè á Paris.

W. M.

*) Te 1,000 fr. były dane za życia Ksawerego Branickiego. Według jego często powtarzanych przyrzeczeń Stowarzyszenie podatkowe spodziewało się znacznego zapisu, dotychczas jednak nic jeszcze nie ma dla niego. Testamentem swoim zmarły bogacz przeznaczył jedną dziesiątą czwartej części całego majątku, to jest milion franków *na ubogich*, ale te dostaną się prawdopodobnie ubogim francuskim. O Pakach magnat polski zapomniał.

STULETNIA ROCZNICA

istnienia teatru polskiego we Lwowie.

W roku bieżącym, upływa lat sto od czasu, jak Lwów po raz pierwszy ujrzał jaskrawy wózek Tespisa. Używamy umyślnie tego starożytnego wyrażenia, bo ono najlepiej charakteryzuje zaczątek sceny naszej w ogóle, a zwłaszcza we Lwowie. Teatr polski stworzony przez Bogusławskiego, był teatrem koczowniczym, niezmordowany jego dyrektor wędrował ze swym personalem z miejsca na miejsce walcząc o byt całe życie. I Lwów oglądał kilkakrotnie tego nowego Tespisa. W styczniu r. 1795 pojawił się on tu po raz trzeci, gdy wypłoszeni wypadkami politycznymi z Warszawy artyści jego rozproszywszy się po kraju, znaleźli się w dostatecznej liczbie we Lwowie i Bogusławskiemu, bawiącemu u rodziny w Krakowskiem posłali list z temi kilkoma wyrazami: „Jesteśmy tu, W. Pana Życzliwi.“

Wojciech Bogusławski jednak nie był pierwszym. Wyprzedził go jak sam on przyznaje o lat 15 Truskolawski, który przybywszy z końcem r. 1780 wraz z żoną swoją i Kazimierzem Owsińskim, znakomitym tak w tragicznych jak komicznych rolach artystą do Lwowa rozpoczął dawać przedstawienia. W ogrodzie obok pałacu ks. Jabłonowskich stał oddawna teatr, w którym prawdopodobnie amatorskie przedtem odbywały

się reprezentacje. Truskolawski wyrestaurował ten teatr, a gdy w ślad za nimi w r. 1781 przybył do Lwowa także Bogusławski, w jednej chwili około nich zgromadziły się młode talenta, które pod kierunkiem tak wytrawnych, a znakomitych artystów wkrótce niepoślednie na scenie zajęły stanowiska. Imiona takie jak Marunowskiej, Pierożyńskiej, Jasińskiego, Zakrzewskiego, znanych z tradycji, którzy się wtedy na scenie lwowskiej wykształcili, dowodzą, że praca instruktorów nie była płonną. Mimo to walczyć z uprzywilejowanym teatrem niemieckim bez niczyjej pomocy było rzeczą nie łatwą. Widowiska nie przynosiły dostatecznego dochodu, czem zniechęcony Bogusławski opuścił Lwów już po roku pobytu swego tutaj, a Truskolawski wraz z Owsińskim wytrzymał zaledwie do połowy 1783, dając w końcu przedstawienia w drewnianym teatrze przy wałach na t. z. targowicy drewnianej.

Tak więc w roku obecnym przypada rocznica stuletnia istnienia teatru polskiego we Lwowie. Ponieważ scena nie małą rolę odgrywa w dziejach kultury, a w naszych stosunkach podwójne, bo nie tylko artystyczne, ale i narodowe ma znaczenie, sądzimy, że nie od rzeczy będzie, jeżeli przy tej sposobności opowiemy chociaż po krótce koleje, które przechodził teatr lwowski przez ten wiek cały swojego żywota, tem więcej, że tym sposobem choć w części wywiązując się z naszego obowiązku, zwrócimy uwagę na dzieło Karola Estreichera p. t. „Teatra w Polsce“, którego tom III w r. z. wydrukowany, rejestruje kronikarskim sposobem historję teatru lwowskiego. Z tego dzieła weźmiemy materjał do naszego opowiadania.

Po wyjeździe Truskolawskich, czas długi panuje cisza. Po rozwiązaniu teatru warszawskiego w r. następnym wprawdzie pojawia się we Lwowie część personalu stołecznej sceny, ale krótko tylko bawi tutaj, zarówno jak i Bogusławski, który w powrocie z Dubna na zaproszenie Rzewuskiego wstępuje do Lwowa, ale po kilku przedstawieniach wyjeżdża dalej.

W kilka lat później bo w r. 1793 skromną trupę sformowawszy Morawski, przybywa do Lwowa z Warszawy, po przybyciu jednak Bogusławskiego jemu odstępuje dyrekcję, a sam opuszcza miasto, w którem z powodu opłacania się Bulli, przedsiębiorcy teatru niemieckiego utrzymać się było prawie niemożebnem. Wytrwały Bogusławski pozostaje na placu i pomimo rozlicznych przeszkód i trudności, pomimo zatrzymania bibljoteki i garderoby na komorze, dzięki dobrej woli i pomocy obywateli lwowskich w styczniu 1795 rozpoczyna szereg przedstawień operą „Fraskatanta“.

Przedstawienia te odbywały się w starym budynku przerobionym z kościoła św. Krzyża (na placu zwanym Castrum) na teatr przez Bullę, któremu budynek darował rząd po zniesieniu klasztoru franciszkańskiego w r. 1784. Bulla miał przywilej, Bogusławski drogo mu się opłacać musiał trzecią częścią dochodu, a mimo to, że dostał tylko na 40 przedstawień pozwolenie naraził się ogromnie aktorom niemieckim, którzy widzieli, iż nie wytrzymają konkurencji z artystami polskimi, pomiędzy którymi były takie talenta, jak M. Jasińska z domu Lazańska, wyborna śpiewaczka i utalentowana artystka do ról tragicznych matek, Bułkowska, Kosowska, tenorzyści D. Kuczkowski, Nowicki i Rutkowski, basiści, Baranowski, Indyczewski i Szczurowski, artystki dramatyczni takiej miary jak Owsiński, Pierożyńska i w. i.

Scena niemiecka upadała, zawistny Bulla więc odmówił Bogusławskiemu pozwolenia na dalsze reprezentacje i z końcem maja ustały widowiska. Bogusławski był zrujnowany; dyrektor teatru niemieckiego widząc jednak, że i po zamknięciu polskiego, który bądź co bądź duże mu przynosił dochody, na niemieckie przedstawienia nikt nie uczęszcza, dał się zmiękczyć i odstąpił Polakom poniedziałki na przedstawienia, ale pomimo, że w dnie te publiczność zapełniała amfiteatr, dochód nie pokrywał wydatków. Bogusławski zamyślał już nawet przenieść się do Krakowa, gdy Bulla opuszczony przez aktorów niemieckich, sam poddał się pod zarząd Bogusławskiego, wymawiając sobie tylko pensję. Bogusławski zostawił mu zarząd teatrem niemieckim i firmę jego na afiszach, a wskutek nalegań Bulli, rząd wydał koncesję na lat sześć.

Odtąd nieco lepiej zaczyna się powodzić teatrowi polskiemu; powodzenie to nie opuściło go nawet w lecie, podczas którego zapobiegliwy dyrektor urządził przedstawienia w ogrodzie Jabłonowskich, w umyślnie na ten cel (za pożyczką otrzymaną od K. hr. Rzewuskiego) wybudowanym gmachu. Tu po raz pierwszy za pozwoleniem cenzury wiedeńskiej przedstawiono zakazany dotąd „Cud czyli Krakowiaków i Górali część I.“

Tymczasem zimowy teatr restaurowano, a po ukończeniu robót otwarto 1. października 1796. Przez dwie zimy następne dochody coraz więcej wpływały nieźle, z wiosną 1798 zaczęła publiczność stronić od teatru. Bogusławski widząc to, wymówił kontrakt Bulli i zamierzał opuścić Lwów, tem więcej, że widząc ubytek dochodów, wynieśli się najlepsi artyści. Zamiar ten wykonał z wiosną 1799, gdy długi nie pozwalały mu swobodnie działać. Za nim wyjechał Kaczkowski z całą trupą do Warszawy. Pozostał tylko Owsiński chory, który umarł tu 13. maja.

Rząd korzystając z wyjazdu Bogusławskiego, zabronił nadal polskich widowisk. Napróżno starał się o pozwolenie J. N. Kamiński, który w czasie pobytu Bogusławskiego we Lwowie, gorąco przywiązał się do polskiej sceny. Po pożarze, który zniszczył przedmieście krakowskie w czerwcu r. 1800 uzyskał on wprawdzie pozwolenie na kilka przedstawień na rzecz pogorzelców, ale niedługo potem rząd spostrzegłszy się na zręczności Kamińskiego, zakazał dalszych przedstawień, — Kamiński z trupą swoją wyjechał ze Lwowa.

Rok 1809, zajęcie Galicji przez wojska polskie, zwabiły Kamińskiego napowrót do Lwowa, który jednak wkrótce Austrjacy kazali mu opuścić. Kamiński nie tracił przecież nadziei. Jego wytrwałość dokazała tyle, że nietylko pozwolono mu pozostać w kraju, ale co więcej, nawet w czasie zjazdu obywatelstwa na kontrakty, grać mu pozwolono. Wkrótce uzyskał on za zgodą Bulli pozwolenie na stałe przedstawienia, a teatr jego coraz szersze zdobywał sobie uznanie. W gronie jego znajduje się Antoni Bensa, w roku 1811 występują po raz pierwszy na scenie polskiej Nowakowski i Smochowski. Repertoar pod światłym kierunkiem znawcy literatury ożywia się. Kamiński wyprowadza na scenę arcydzieła dramaturgów niemieckich i francuskich i każe próbować swym artystom sił w Szekspirze. Można to było łatwo uczynić, bo personal w tej chwili składają znakomici artyści; na scenie lwowskiej oprócz wymienionych powyżej występują Kamiński i jego żona Apolonja, Starzewski, Bensowa (Rożańska z domu), Rutkowska, Salowa.

Pomimo to Kamiński nieświetne robił interesa. W r. 1818 grał we wrześniu w letnim teatrze w ogrodzie pojezuickim, i o ile możności starał się zachęcić publiczność, ale stałego zamiłowania do teatru obudzić nie mógł, pomimo tego, że miał personal doborowy acz nieliczny.

Wszystkie te trudności i przeszkody, jakie spotykał Kamiński jako przedsiębiorca, i długi, w które zabrnął, nie zraziły go wcale. Około roku 1820 personal powiększył się zdolnym artystą Rudkiewiczem, tudzież panną A. Marecką, później żoną jego. Wszystko to jednak nie pomogło, publiczność przestała uczęszczać do teatru, krytyka zupełnie umilkła w dziennikach. W roku 1822 radzono już nawet nad tem, jakby rozwiązać kompanią. Kamiński jednak oparł się temu. Wysłał artystów swoich do Kamieńca Podolskiego, a tymczasem sam prośbą i groźbą dokazał tyle, że publiczność po otwarciu teatru nastraszona, zaczęła gęściej zapełniać teatr. Tak trwało dwa lata. Od roku 1824 przesilenie pojawiać się zaczęło znowu. Biegał Kamiński przedstawiając smutne położenie teatru polskiego po wszystkich dygnitarzach i w końcu usilnemi staraniami dokazał tego, że w roku 1825 Stany galicyjskie uchwaliły udzielić dla poparcia sceny narodowej 2000 złr. rocznie. To chwilowo podratowało teatr, ale wkrótce wewnątrz ukazało się rozprzężenie. Kamiński, który z wiekiem stracił energię, nie umiał utrzymać swej powagi. W roku 1830 Nowakowski z żoną opuścił Lwów i przeniósł się do Krakowa, role jego grał płaski komik Aśnikowski, a z powodu pomniejszenia się personalu, występować był przymuszony znowu Kamiński, który się był usunął ze sceny. Kobiecy personal niepoślednio w tym czasie wzmocniła Leontyna Żuczkowska (Halpertowa), teatr jednak ciągle małe przynosił dochody.

Kamiński coraz głębiej brnął w długi. Spowodowało to marszałka Wasilewskiego, że zaczął się krzątać około ratunku dla sceny, poczem rozpisano akcje po 100 złr. dla utrzymania teatru. Zgłosiło się 46 akcjonarjuszów, którzy zostawili artystyczny kierunek komitetowi złożonemu z artystów, pod przewodnictwem Kamińskiego. Wewnętrzne przecież niesnaski jak i zewnętrzne wypadki polityczne nie oddziaływały dobrze na rozwój narodowej sceny.

Tak się rzeczy miały, kiedy Kamiński, który objął 1838 roku po śmierci Krattera „Gazetę Lwowską“, nie interesował się wiele teatrem, od którego i tak komitet artystów coraz bardziej go usuwał, a Skarbek kończył budowę gmachu i zamyślał nowymi artystami odświeżyć personal lwowski. Okoliczności mu sprzyjały. Przybył bowiem w tych czasach z Wilna cieszący się już pewnym rozgłosem uczeń szkoły dramatycznej warszawskiej Bogumił Dawison i wystąpił 23. Listopada 1840 na scenie lwowskiej. Niedługo potem, bo we wrześniu roku następnego, przybyła także Aszpergerowa. Nie podobało się to dawnym artystom, którzy czuli, że młodym siłom ustąpić będą musieli. Dawison był widocznym następcą Benzy, Aszpergerowa Kamińskiej. Nowe przecież siły obudziły pewne ożywienie wśród publiczności. Krytyka zaczyna także częściej wypowiadać swe zdania o teatrze. Prowadzi ją L. Borkowski (w Dzienniku mód) i J. Dobrzański (w Gaz. Lwowskiej). Recenzje

zaczynają być szczegółowsze i dotykają więcej gry artystów, czego dawne recenzje (Zaleskiego) nie czyniły Chłędowskiego i Wacława z Oleska.

Był to rok ostatni, rok, w którym musiał być zamknięty stary teatr. Od Wielkiejnocy Skarbek z koncesją w ręku miał rozpocząć przedstawienia w gmachu nowym. Przedstawienia w teatrze za placu Castrum zakończyły się d. 18. marca 1842. Grano Korzeniowskiego „Akt piąty“, w którym wystąpili Benza i Starzewska, przedstawienie zakończyły ustępy z „Zabobonu“ i przemowa Kamińskiego do publiczności.

W dni dziewięć później, bo 27. marca, hr. Skarbek rozpoczął przedstawienia w nowym gmachu sztuką niemiecką: „Das Leben ein Traum“, na drugi dzień rozpoczęto reprezentacje polskie Fredry „Ślubami Panieńskiemi“. Skarbek początkowo nie zaangażował wszystkich artystów dawnego teatru, później, pod naciskiem opinji, musiał ich przyjąć. Personal jego składali: Nowakowski, Smochowski, Dawison, Benza, Rejmers, Rudkiewiczowie, Kamińska, Starzewscy. Początkowo Kamiński miał artystyczny kierunek, gdy jednak pokazało się, że zupełnie stracił powagę wobec swych kolegów, Skarbek wybrał na reżysera Dawisona. To obraziło starszych artystów, wszczęły się wskutek tego niesnaski, które doprowadziły do tego, że Dawison musiał w sierpniu 1846 opuścić scenę.

Prowadząc lat kilka teatr, przekonał się Skarbek, że teatr o własnych siłach utrzymać się nie może i pożera dochody fundacji Drohowyzkiej, prosił więc o subwencję, którą uchwalił sejm z funduszu domestykalnego w kwocie 4000 złr., ale Skarbek zrzekł się tej subwencji na lat 10 i przeznaczył sumę ztąd powstałą na fundusz emerytalny dla artystów, który miał być w r. 1855 otwarty. W tym samym roku powiększył Skarbek znacznie personal, sprowadzając Rychtera, Teofilę Cenecką tudzież Ign. Chomińskiego na występy gościnne. R. 1847 był chwilą przesilenia na scenie lwowskiej. Z dawnych artystów pozostała tylko Aszpergerowa, w miejsce Starzewskiej, Rudkiewiczowej i Kamińskiej występowała Cenecka Teofila i Starzewska młodsza, córka słynnej artystki, która matki zastąpić nie mogła. Nowakowski i Rudkiewicz nie byli stale angażowani, Benzę dopiero pod naciskiem opinji przyjął Skarbek, obok Rejmersa w rolach amantów popisywał się lichy aktor Sturm.

Teatr nie wabił. Przyczyniły się do tego wypadki polityczne i gorączka oczekiwania, jaka poprzedziła r. 1848. Skarbek także co raz bardziej się opuszczał i pozostawił ze śmiercią swoją teatr w największem rozprzężeniu. Po nim objął administrację kurator ks. Karol Jabłonowski, który nie mogąc sobie poradzić sprowadził z Krakowa Pfeifra z kilkoma aktorami. I to jednak nie wiele pomogło. Teatr niemiecki pochłaniał tyle, że musiano dokładać ogromne sumy z instytutu Drohowyzkiego. Ks. kurator chciał uzyskać pozwolenie na zaciągnięcie pożyczki, ale gdy na odmowną odpowiedź wyjechał do Wiednia, by tam dalsze w tej sprawie poczynić kroki, rząd krajowy (hr. Gołuchowski) zawiesił kuratora w urzędowaniu i oddał zarząd teatru starostwu grodzkiemu. Publiczność była oburzona tem nadużyciem, a widząc teatr pod zarządem policji tem bardziej od niego stronić zaczęła. Nie pomogło, że na miejsce Pfeifra sprowadzono Chełchowskiego, nie pomogło wzmocnienie personalu artystami takimi jak: Ekerowie, Hennig, Kaliciński, Linkowscy, Wilkoszewski, brakło artystycznego kierownictwa a tem samem i publiczność nie uczęszczała. Teatr lwowski podniósł się dopiero, kiedy dyrekcję objęli dwaj wytrawni i znakomici artyści, J. N. Nowakowski i Witalis Smochowski, którzy poczęli przedstawienia z d. 2. października 1857.

Znakomity talent obu dyrektorów, znanych dobrze i ulubionych przez publiczność przełamał lody obojętności. W teatrze zgromadzało się coraz więcej widzów, krytyka miejscowa nieodmawiała swego poparcia. Reżyserem pozostał wprawdzie Kaliciński, ale obok dawnych uznanych zdolności artystów pojawiły się młode talenta, które dodały swietności scenie.

Obok Aszpergerowej i Targowskiej występowała na scenie Teofila Kaczkowska, której pierwsze występy już zjednały uznanie należne dla tej prawdziwej i niecodziennej zdolności. Personal męzki oprócz obu dyrektorów liczył w swem gronie Wilkoszewskiego, Maleszewskiego, artysty, który dotąd niestety, nie był należycie oceniony i Lecha Nowakowskiego.

Wszyscy artyści wykształcili się pod kierunkiem Smochowskiego i Nowakowskiego, a później pierwszorzędne na scenie zajęli stanowiska. Po sześciu latach, w których nowi dyrektorowie dobrze się zasłużyli około rozwoju sceny lwowskiej syci sławy ustąpili z dyrekcji. Z dwóch konkurentów Rychtera i Miłaszewskiego, którzy chcieli wziąć teatr Skarbkowski w przedsiębiorstwo, utrzymał się ostatni.

Takie koleje przechodził teatr polski we Lwowie. Ostatnie chwile dziejów sceny naszej są w świeżej pamięci wszystkich. Powtarzać ich tu nie widzimy potrzeby. Z krótkiego tego rysu, którym chcieliśmy przypomnieć historję znaną z żywej tradycji, widzimy jak rozmaite koleje przechodziła scena nasza. Pod srogim uciskiem rządu, który prześladował teatr polski i rozliczne stawiał trudności rozwojowi sceny narodowej we Lwowie, rozwinął się on najpiękniej i cieszył się niezwykłymi talentemi. W każdej chwili górowała scena lwowska personalem swoim nad innymi teatrami polskimi, z wyjątkiem może warszawskiego. Scena ta w ciągu swego wiekowego istnienia wydała niemało talentów i obdarzyła nimi inne sceny polskie. Pod względem narodowym ma ona też nie małe zasługi. Przez czas długi ona była jedyną świątynią języka i karmicielką uczuć patrjotycznych, w chwili, gdy wszelki objaw narodowych uczuć był zbrodnią. W tych czasach spełniał teatr nietylko artystyczne, ale i obywatelskie zadanie. Nie był on może nigdy i nie mógł być Schillerowską szkołą moralności, ale obok kościoła, który był biernym w obec wypadków politycznych i obok szkoły, która miała tendencje germanizacyjne, spełniał zadanie szkoły obywatelskiej i wziął na siebie narodowe wychowanie młodzieży. Takiej scenie, która umie połączyć artystyczny kierunek ze społecznym, należy się cześć i podzięka historji. Nie wątpimy, że uczynią to dzieje. Zanim jednak Klio zasiędzie by wydać swój wyrok, nie ociągajmy się i my od złożenia jej w rocznicę stuletnią jej istnienia należnych dzięków. W dzień ten należy się teatrowi naszemu nagroda za wiek wytrwałej pracy i zasługi. Nagroda ta niechaj nie poprzestaje jednak na czczych wyrazach pochwał i uznania. Zasługi tej nauczycielki piękna, prawdy i dobra uczcić winna stolica — czemś więcej niżeli słowem, bo czynem i poparciem.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

(O Malarstwie religijnem w Polsce przez Wł. Łuszczkiewicza. XIII. tom Encyklopedji kościelnej. Warszawa 1880.)

Śród powodzi artykułów i recenzji z dziedziny sztuki, których autorowie powołani lub niepowołani, spieszą w zawody szablonową sztuką najczęściej kształcić smak publiczności — każda poważna i gruntowna praca zwracać musi uwagę. Jestto oaza śród lotnych piasków i pyłu pustyni. — Taką pracą właśnie jest rozprawa Władysława Łuszczkiewicza „O malarstwie religijnem w Polsce“ — wydrukowana niedawno w XIII. tomie Encyklopedji w Warszawie.

Znakomity badacz dziejów sztuki plastycznej w Polsce, ze zwykłą sobie znajomością i zamiłowaniem przedmiotu, skreślił nam treściwy rys dziejów malarstwa, od jego zjawienia się w Polsce, do końca XVIII. wieku. — Witamy tę pracę tem skwapliwiej, że ona stanowiąc cenny przyczynek do cyklu prac tegoż autora, na tem polu, już to w dziedzinie dawnego budownictwa — już starożytnej rzeźby — podjętych — należy do zbyt u nas rzadkich tak co do swej treści, jak i wartości.

Słusznie też autor badając początki malarstwa w Polsce, które się prawdopodobnie zbudziło i rozwijało pod wpływem szkoły Bizantyńskiej, Romańskiej i Gotyckiej — zanim uległo wpływom renesansu, objął ten cały jego perjod mianem malarstwa religijnego; bo tylko jako takie, mogło i musiało się zjawić śród Chrześciańskiej społeczności, początku wieków średnich. — Żałować tylko przychodzi, że studja szanownego autora, obejmują zbyt szczupły zakres Polski — nie sięgają na Litwę i Ruś, nad brzegi Dźwiny, Niemna, Prypeci i Dniepru. Dar bowiem jego postrzegawczy i wytrawny sąd krytyczny, zrobiłby tam bezwątpienia niejedno odkrycie, ktoreby rzucić mogło światło na drogi, jakiemi sztuka u nas kroczyła w innych dzielnieach kraju. Dość wymienić okolice Nowogródka z Ławryszynem, znanem już ze swego monasteru z czasów, zanim tę ziemię Erdźwił przyłączył do Litwy; lub owe ciekawe cerkwie i monastery śród puszcz zapadłej w moczary po nad Prypecią i Horyniem, Pinszczyzny. — Ileżby to tam starosłowiańskich i bizantyjskich zabytków odszukać się dało! — dotąd nieznanych i nie cenionych. Zaprawdę czas by już był, aby nasi uczeni, pospieszyli zajrzeć w głąb tego kraju własnemi oczyma, zanim się zmieni jego postać (fizjognomia) pod usilnym naciskiem przeobrażeń dzisiejszych cywilizatorów jego.

Zresztą, rzecz to wiadoma, że im szerszy pogląd, tem trafniejszy.

To też i późniejszych czasów dzieła sztuki, rozrzucone po Litwie i Rusi, wpłynęłyby mogły nieraz na zmodyfikowanie niejednego sądu. Że zacytujemy obrazy Czechowicza, o którym bardzo słusznie powiedział hr. St. Tarnowski w swojej korespondencji z Wilna, że „kto chce widzieć Czechowicza w całej jego chwale, niech idzie do Śtej Katarzyny“ w Wilnie.

W każdym razie praca to dla nauki i pożądana i znakomita. Znać w niej profesora sztuk pięknych i prezesa komisji dla historji sztuki akademji umiejętności. Że zaś z miłością pod-

jęta została, mamy nadzieję, że ją z czasem autor dopełni i rozszerzy.

„Powoli a wytrwale“ — to dewiza, która pracom naszym przyświecać powinna.

E. Pawłowicz.

Kronika Tygodniowa.

(Koło literackie i nowe kasyno. Z teatru. Koncerta p. Żeleńskiego. Gmach sejmowy i oświetlenie elektryczne. Kanalizacja miasta Lwowa.

Lwów ma tę charakterystyczną cechę, że jak w nim spokojnie, to spokojnie tak, jak na powierzchni stawu wśród ciszy, ale gdy się coś poruszać zacznie, to już nie na żarty. Gorączkowość miasta naszego oddawna jest znaną. Przychodziły w epoce życia konstytucyjnego różne sprawy, jedna po drugiej, które przez czas pewien wyłącznie zajmowały uwagę ogółu. Najdłużej Moloch polityki zbierał sobie ofiary. Wrzało tu i kipiało jak w kotle djabelskim. Zapomniano o nauce, o sztuce, o literaturze, a namiętnie oddawano się politykowaniu, nie zwracając uwagi na to, że bez jednoczesnego rozwoju tych ogólno ludzkich stron życia, przyjść musi upadek w znaczeniu cywilizacyjnem. I rzeczywiście, po długoletnich ożywionych walkach politycznych, gdy się namiętności wypaliły, i zupełna prawie obojętność zapanowała, okazało się, jak dalece zaniedbano kultywowania nauki, sztuki i literatury. Dawne głośne imiona powygasały, z młodego pokolenia nie pojawił się żaden talent wybitniejszy, publiczność przyzwyczajona do pieprznej politycznej strawy, zobojętniała zupełnie dla poważniejszych rzeczy. Żeby się u nas pojawiło dzieło literackie, największej wagi, epokę stanowiące, to o jego znaczeniu dowiedzielibyśmy się z objawów uznania z innych części Polski przychodzących. U nas zbytoby je króciótką wzmianką w dziennikach. Nikogo to nie obchodzi i nie interesuje. To też w tak smutnym stanie, każdy objaw budzącego się życia jest zjawiskiem tak nadzwyczajnem, że z niedowierzaniem mu się przypatrujemy. Tem większe zadowolenie, gdy się pokazuje coś trwałego i obiecującego. Przed niedawnym czasem donosiliśmy o zawiązaniu się „Koła literackiego“, dziś podać możemy wiadomości o „Kasynie literacko-artystyczno-naukowem“, którego zawiązek już istnieje i które niedługo w życie wprowadzonem zostanie. „Koło literackie“ nad wszelkie spodziewanie rozwija się bardzo pomyślnie i poważnie. Ominięto tam szczęśliwie jeden szkopuł groźny, który poprzednio wszelkiej ogólnej pracy w tym kierunku, stał na przeszkodzie. Spory polityczne rzuciły w sfery dziennikarskie i literackie zarzewie niezgody; unikano się wzajemnie i z niedowierzaniem na siebie patrzano. Któżby mógł sądzić, że ci pracownicy razem się zejść będą mogli i wspólnie omawiać sprawy swego zawodu. A jednak rzecz ta stała się faktem dokonanym, bo „Koło literackie“ złączyło sympatycznym węzłem ludzi różnych przekonań i coraz lepiej, coraz pożyteczniej się rozwija.

Zawiązujące sią kasyno inne będzie miało cele. Chodzi tu o stworzenie wygodnego i przyjemnego miejsca zebrań się, gdzie ludzie jednego zawodu, jednego stopnia inteligencji mogliby się schodzić dla wspólnego przepędzenia czasu, omawiać wspólne sprawy, i zabawiać się w kółku bliższych znajomych. Nad wprowadzeniem tego kasyna w życie energicznie pracuje komitet wykonawczy i sądzimy, że niedługo ono będzie gotowe. Teraz robią się starania o najęcie lokalności posejmowych, jako najlepiej odpowiadających celowi. Lepszej sali do zabaw, odczytów i koncertów, jak sala posiedzeń, trudnoby dostać można było.

Sądzimy, że „Koło literackie“ i „Kasyno“ znajdą tyle wspólnych punktów, że się wytworzy z tego rzecz jednolita a więc i silna. *Concordiae res parvae crescunt.*

* * *

Teatr zajęty produkcjami choreograficznemi. Kilka razy występowała para tancerzy medjolańskich panna Consuelo de Labruyère i p. Trucco. Dla Lwowa widowisko to nadzwyczajne, a jednak rzecz dziwna, nie bardzo się tłoczono do teatru. Widocznie sztuka tańcu potrzebuje przygotowanych i w tym kierunku ukształconych widzów, którzyby całą głębię tej gałęzi artyzmu odczuć mogli. Że taniec jest rzeczą trudną, to wątpliwości nie ulega, że należy do rzędu sztuk pięknych, o tem czytać możemy w najrozmaitszych estetykach. Pamiętamy jak nas młody profesor rossyjkiej „słowiesnosti“ w Warszawie na wstępie uczył, ile to jest sztuk pięknych, i że w ich szeregu niepoślednie miejsce „balet“ (sic) zajmuje. Na nas zawsze te produkcje śmieszne robią wrażenie, widząc jak zdrowe jakieś chłopisko, z bezmyślnym uśmiechem na ustach, wywraca piruety przed publicznością, skacze na jednej nodze i rękami z afektowaną gracją, dziękuje za oklaski, szturkając jednocześnie końcem nogi w powietrze. Ogromnie piękny zawód, ogromnie!

Z nowości w teatrze nic prawie nie mamy do zanotowania. Nie wiemy co się dzieje z zapowiedzianą „Panią podkomorzyną“, Zalewskiego z „Szambelanami“ Wdowiszewskiego i z kilkoma innemi, o których chodziły wieści.

* * *

Ze świata tonów. Przyjechał znany kompozytor warszawski p. Wł. Żeleński i ma zamiar w paru koncertach poznajomić naszą publiczność ze swemi uwtorami. Zdaje się że u nas zaczynają przychodzić lepsze dla muzyki czasy. Niedawno mieliśmy sposobność ocenić talent p. Jareckiego w jego operze „Mindowe,“ teraz poznamy bliżej dzieła znakomitego kompozytora warszawskiego, o których dotąd bardzośmy mało wiedzieli. Sztuka muzyczna tak u nas w ostatnich czasach była zaniedbywaną, że każdy objaw ruchu winien budzić jak najżywsze zajęcie. Kto wie? może mamy przed sobą wizerunek potężnego rozwoju, może słyszymy nowych muzyki apostołów, głoszących sławę nową imienia polskiego? Czas byłby już wreszcie, żeby i w tym kierunku naród nasz odezwał się echem, że idzie razem naprzód ze światem cywilizowanym.

P. Żeleński daje podobno dwa koncerta. Jeden w sali ratuszowej, o programie specjalnym i wyszukanym, a drugi o popularnym nastroju w teatrze Bardzo nam przypadł do smaku ten podział, który pozwoli szerszym kołom poznajomić się z kierunkami kompozytora. Pan Żeleński pracuje obecnie nad operą „Konrad Walenrod,“ z której usłyszymy wyjątki, a oprócz tego, będziemy mieli sposobność słyszeć rozmaite utwory chóralne, instrumentalne i solowe, szczególniej te, które już gdzie indziej sławą się cieszą, a u nas nawschodnich kresach znane są tylko z imienia.

* * *

Po raz pierwszy we Lwowie ma być zaprowadzone elektryczne oświetlenie. Postanowiono użyć lamp elektrycznych w sali posiedzeń sejmu, w nowobudującym się gmachu. W tej chwili odbywają się próby z machinami dynami-elektrycznemi Rychnowskiego, które mają służyć ku temu celowi. Podnieść należy tę okoliczność, że to pierwsza machina tego rodzaju w Polsce wynaleziona, i że w samej rzeczy jest ona co do budowy swojej zupełnie oryginalnie pomyślaną. Szczegóły o tej sprawie poda zwykły sprawozdawca „Tygodnia.“

Gdy mowa o sejmie, to nadmienimy jeszcze, że w okolicy nowego gmachu stanąć jeszcze ma parę wspaniałych budynków. Kasyno narodowe, które dotychczas miało swą siedzibę w teatrze, postanowiło postawić dla siebie kamienicę, przytykającą do gmachu sejmowego. Za lat kilkanaście ogród Jezuicki, z sąsiadującemi ulicami, będzie najwspanialszem miejscem Lwowa. Już teraz pięknie się prezentują ulice doń przytykające, które noszą na sobie charakter wielkomiastowy.

* * *

Dawno już technicy i lekarze wskazywali na konieczność przeprowadzenia we Lwowie takiej kanalizacji, któraby usunęła dawny zwyczaj wprowadzania wszelkich nieczystości do otwartego koryta Pełtwi, której wyziewy zatruwają powietrze i podnoszą znacznie liczbę śmiertelności. W miastach położonych nad spławnemi rzekami nawet, dawno już zerwano z przestarzałym systemem wprowadzenia wszelkich nieczystości wprost do rzeki i za pomocą kanałów odprowadzano wylew zdala po za obręb miasta i urządzono t. z. kanalizację spławną. W obec tego, cóż mówić o Lwowie! Pełtew nader mało posiada wody; w korycie jej nieczystości leżą dopóty, póki ich większy nawalny deszcz nie spłucze, w obec tego więc odprowadzanie i nadal odchodów wprost do jej koryta byłoby w istocie występkiem.

Sprawę tę poruszono w ostatnich czasach w Radzie miejskiej. Radny prof. Jägerman przedstawił nawet projekt odpowiedni, który dąży do założenia kanałów równolegle z korytem, a równocześnie pragnie powiększyć w Pełtwi ilość wody, proponując sprowadzenie jej z bagnistych okolic Biłohorszczy.

Przyklaskując temu projektowi, który bezwątpienia podniesie znacznie stan sanitarny naszej stolicy, nie śmiemy o nim jako niefachowi wydawać zdania. Zanotujemy tylko równocześnie inny projekt przedstawiony w „Dźwigni“ przez p. L Radwańskiego inżyniera, który na podstawie doświadczeń poczynionych za granicą, do odprowadzania nieczystości radzi użyć t. z. systemu separacyjnego. Koszta urządzenia takiego kanału oblicza autor projektu na 1.400.000 złr. w przybliżeniu. Oprócz tego proponuje także zaprowadzenie w nowo budujących się domach systemu beczkowego.

Na wszystko to zgodzić by się można w zupełności, zdaje nam się przecież, że główne starania należy zwrócić na to, aby ilość wody w korycie Pełtwi pomnożyć. Kto zna dawne

plany miasta naszego, ten wie o tem, że Lwów posiadał o wiele więcej wody przedtem, aniżeli dzisiaj. Dowodzi tego historja miasta, która o licznych wspomina wylewach. Zarząd miejski w dawnych czasach nie zważając co ztąd wyniknie, gruzami starych murów pozasypywał źródła strumyków, które zasilały wodą Pełtew i utworzył w ten sposób żyły wody zaskórnej, która dziś stała się przyczyną wielu chorób zawilgacając mury w całem mieście. Z tego powodu wielu inżynierów i lekarzy, żąda przeprowadzenia systematycznego drenowania w niektórych okolicach miasta. P. Radwański proponuje przedewszystkiem osuszenie ulicy Zielonej, Piekarskiej i Źródlanej. Nam się zdaje przecież, że i w innych stronach należałoby uczynić to samo. Wykonanie tego należy do Rady miejskiej, która przeprowadziwszy taki projekt kanalizacji, dobrze się zasłuży miastu i sobie trwały wystawi pomnik.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

⁂ Dziesiąta historyczna powieść Kraszewskiego „Syn Jazdona“ (z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego) znajduje się już pod prasą.

⁂ „Wspomnienia obywatelskie“, Alberta Wilczyńskiego, wyszły w oddzielnej odbitce.

⁂ Pism Henryka Sienkiewicza ukazał się już tom trzeci.

Zawiera on „Listy z podróży po Ameryce,“ „Listy z Rzymu i Paryża,“ „Komedję pomyłek.“

⁂ „Dzieje Polski“ prof. Michała Bobrzyńskiego ukazać się mają wkrótce w zwiększonem dwutomowem wydaniu.

⁂ W Warszawie rozpoczęte zostanie olbrzymie a wielkiej doniosłości wydawnictwo.

Jan Tadeusz Lubomirski, Stanisław Przystański, J. K. Plebański i Edmund Stawiski przystąpią do druku kilkusetarkuszowego dzieła p. t. „Encyklopedja wychowawczo-pedagogiczna.“

Prospekt nowej „Encyklopedji“ ukaże się wkrótce, zeszyt pierwszy w maju r. b.

⁂ Akademja umiejętności w Krakowie wydała dzieło K. Strończyńskiego „Legenda o świętej Jadwidze,“ księżniczce szląskiej wedle rękopismu z 1353 r.

Publikację tworzą liczne fototypy, tekst zaś objaśniony uczonem studjum dającem obraz społeczeństwa polskiego na Szląsku w wieku XIV, uwagami osnutemi na archeologicznem zbadaniu 60 obrazków, o ile dają materjał do wyjaśnienia tamtowiecznych zwyczajów, ubiorów, oraz życia na dworze książęcym, duchowieństwa, szlachty i ludu.

⁂ W Warszawie opuścił prasę drukarską T. I dzieła p. t. „Analekta Wielkopolkie,“ obejmujący rejestr poborowy Województwa Kaliskiego 1618 do 1620. Pracę tę wydał i wstępem opatrzył p. A. J. Parczewski.

⁂ Nakładem zakładu Narod. Im. Ossolińskich wyszedł z druku zeszyt I. Katalogu Rękopisów Biblioteki Ossolińskich, ułożony przez dra. Wojciecha Kętrzyńskiego dyrektora tegoż zakładu.

⁂ P. Karol Berchard, notarjusz w Szczercu napisał broszurę p. t. „Reforma c. k. uprzyw. gal. Zakładu kredytowego włościańskiego.“ Broszura ta znajduje wielki popyt.

⁂ We Lwowie ukazała się broszura p. t. Uwagi nad „komasacją gruntów włościańskich“.

⁂ P. Bronisław Prawdomowski wydał nowy zbiór poezji p. t. „Większa łaska Boska niż zawziętość ludzka.“ (Społeczno historycznych pieśni. Oddział IV.)

⁂ „Mody paryskie,“ zawieszone z końcem roku zeszłego, zaczną znowu wychodzić w ciągu bieżącego miesiąca.

Wydawnictwo dalsze pisma objęła pani Jadwiga Witkiewiczowa.

⁂ Superintendent Altman wydał nakładem Maksa Schlesingera w Wrocławiu w tłómaczeniu niemieckiem „Kronikę protestanckich gmin w Krakowie.“ napisaną przez pastora Wojciecha Węgierskiego, seniora gmin krakowskiego obwodu w r. 1651 do 1657.

⁂ We Francji i Niemczech dzieła popularyzujące naukę, podające w przystępniej formie jej rezultaty, acz z powodu bogatych ilustracyj czasami nawet bardzo drogie, dziwnie prędko się rozchodzą a często ukazują.

Do takich należy „Der Vorgeschiechtliche Mensch“ W. Baera i F. Hellwolda, obecnie w Lipsku wydane.

Nasze zabytki wspomniane w tej publikacji tylko tam, gdzie mowa o jaskiniach i w rozdziale o popielnicach twarzowych.

⁂ Ateneum w zeszycie za miesiąc kwiecień zawiera: 1. Walka z centralizmem w Galicji, przez Ignotusa. 2. Szalona. Powieść, przez J. I. Kraszewskiego 3. Najnowsze poglądy na naturę pierwiastków chemicznych przez Stanisława Kramsztyka. 4. Z literatury współczesnej we Włoszech przez Edw. Grabowskiego. 5. Obyczaje ekonomiczne we Francji, przez dr. Kazimierza Waliszewskiego. 6. Kronika naukowa. 7. Kronika miesięczna.

ROZMAITOŚCI.

Zabawki dziecinne. Powszechnie znanym faktem są niedogodności a nawet niebezpieczeństwa wynikające z użycia farb pewnych w użyciu domowem, na co władza nawet od czasu do czasu we wszystkich krajach zwraca uwagę.

Na szczególne wszakże baczenie zasługiwaćby powinny zabawki dziecinne. Każdemu wiadomo, że dziecko przedewszystkiem wszystko niesie do gęby, zkąd niebezpieczaństwo jawne i groźne istnieje dla niego w każdej chwili. Tymczasem we wszystkich sklepach z zabawkami na całym świecie, na wszystkich straganach, jarmarkach, targach, spotykamy co krok lalki, trąbki, piszczałki, ptaszki, rozmaite figurki, domki, zwierzęta gospodarstwa i t p. grubo z drzewa wyciosane i pokryte farbami Cacka te sprzedają się niezmiernie tanio, są więc przystępne dla każdego, to też w niezmiernej rozchodzą się ilości. Otóż pokrywające je gęstą warstwą farby powleczone są niby to pokostem, ale pokost ten złazi bardzo łatwo w zetknięciu z wodą i śliną. Używane farby są czerwone, żółte, niebieskie, białe i zielone: wszystkie zaś z wyjątkiem niebieskich są trujące, bo do składu ich wchodzi minia, chromgelb, bleiwas i arsenian miedzi.

Podobno zabawki francuskiego wyrobu zakazane są w Niemczech z powodu farb olowianych jakiemi są malowane; tymczasem badanie zabawek przychodzących z Niemiec przekonywa również, że pod względem niebezpieczeństwa bynajmniej tamtym nie ustępują.

P. Gugot w swojej *Corespondence scientifique* zwraca również uwagę na wózki dziecinne, tak obecnie wszędzie rozpowszechnione. Mają one często budki ze skóry amerykańskiej rozmaitego szarego i popielatego odcienia. Wózków podobnych i u nas już dosyć latem widzieć można. Owoż w Berlinie, gdzie ich jest bardzo dużo, zauważano, że wiele dzieci wożonych niemi, okazywało jawnie oznaki zatrucia ołowianego. Poddano więc badaniom owe skóry i znaleziono w nich znaczne ilości soli ołowianych. Rozbiór ilościowy pokazał w niektórych straszliwą ilość 42·7% ołowiu metalicznego. Dosyć było palić nad świecą kawałki podobnej skóry, aby spadały z niej kuleczki ołowiu. Kawałek jej ważący 10 gr. dał kulkę ołowianą ważącą 4·27 gr. Jeden z dzienników genewskich obliczył, że w decymetrze kwadratowym (około 16 cali kwadr.) skóry popielatej, zawierało się 1·73 gr. blejwasu. W skórkach brunatnych rozbiór wykazał sole szkodliwe. Wobec więc podobnych faktów i zbliżającej się wiosny, zwracamy uwagę rodziców na niebezpieczeństwo budek z popielato-srebrzystej amerykańskiej skóry, mianowicie, jeżeli pokrywający je pokost łuszczyć się zacznie pod działaniem promieni słonecznych.

⁂ *Kunsztowny zegar.* „Scientific Américan“ opisuje przepyszną maszynerję zegarową, którą wynalazł niejaki Felix Meier w Detroit, w Michigan, i która przewyższa wszystkie sławne zegary, a nawet zegar w katedrze strasburskiej. Dziesięć lat pracował nad nią Meier i wydał 175,000 franków. Zegar ma 18 stóp wysokości, 5 głębokości, a waży 4000 funtów. Oprawa z czarnego drzewa orzechowego, ozdobiona elegancką rzeźbą. Ma on kształt domu z galerją marmurową, nad którą wznosi się kopuła. Na galerji siedzi Waszyngton w krześle, a na kopule znajduje się statua złota Kolumba. Z obu stron Waszyngtona stoi dwóch murzynów, którzy pilnują drzwi znajdujących się obok słupów podpierających kopułę. W rogach domu są framugi, w których znajdują się postacie ludzkie, symbolizujące bieg czasu; na dole znajduje się dziecko i młodzieniec, na górze zaś starzec; piąta nakoniec framuga mieści w sobie szkielet ludzki. Każda z tych figur ma dzwon i młotek; dzwon dziecka jest mały i ma dźwięk delikatny; głośniej dźwięczy większy dzwon młodzieńca, silnie dzwon męża, podczas gdy dźwięk dzwonu starca znowu jest słabszym, a kościotrupa dźwięczy tępo i głucho. Zegar przedstawia bieg planet na następujące 200 lat; wskazuje on czas w Detroit w godzinach, minutach i sekundach, a również w Waszyngtonie, New-Yorku, San-Francisco, Melbourne, Pekinie, Kairo, Konstantynopolu, Petersburgu, Wiedniu, Londynie, Berlinie i Paryżu. Dni, miesiące i lata wskazane są również na cyferblacie zegaru, a także ruch ziemi i słońca, fazy księżyca i bieg wszystkich innych planet. Wynalazca urządził tak maszynerję, że ciekawy spostrzegacz może wnętrze zegaru widzieć.

Po każdym kwadransie uderza dziecko swym lekkim młotkiem w dzwonek, po półgodzinie uderza silniej młodzieniec, po trzech kwadransach najsilniej mąż, a po godzinie dźwięczy słabiej starzec; nakoniec występuje kościotrup, aby wolno i głucho wybić liczbę godzin, a jednocześnie otaczają go aniołowie, jako alegorja ulatującego czasu Po wybiciu godziny zaczyna grać muzyka narodowe hymny amerykańskie, a na galerji przedstawia się nagle następująca scena: Waszyngton wstaje ze swego siedzenia, wyciąga prawą rękę i rozwija dekret swobody Stanów Zjednoczonych. Potem otwiera jeden z murzynów drzwi, przez które wchodzą na galerję wszyscy byli prezydenci, a na końcu Hayes; każdy z nich ubrany jest podług zwyczajów swego czasu. W połowie galerji stają oni i każdy z nich kłania się Waszyngtonowi, podnoszą prawą rękę, poczem wychodzą przez drugie drzwi, które drugi murzyn za nimi zamyka. Waszyngton znowu siada i nie słychać nic już prócz jednostajnych uderzeń wahadła i bicia kwadransy, aż gdy po godzinie znowu się scena ta powtarza.

Treść Nr. 16. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.